

ROK V.

STYCZEŃ — 1905 ROK.

TOM I (XLIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



5014c



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1905

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 января 1905 года.

Treść tomu I, styczniowego 1905 r., ogólnego zbioru XLIII.

| | | |
|-----|---|----|
| 1. | W dzień Nowego Roku, wiersz, przez Jadwigę bar. Reiską. | 3 |
| 2. | Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Cześć i chwała Przenajświętszej, Niepokalanej Jego Matce Dziewicy! | 4 |
| 3. | Za gwiazdą Wiary — do Zbawienia, opowieść noworoczna | 6 |
| 4. | Żywot Zbawiciela świata, przez Sługę Bożego. | 19 |
| 5. | Bogarodzica naszą Matką, przez ks. Wł. F. | 24 |
| 6. | Dzieje illustrowane klasztoru Jasnogórskiego | 27 |
| 7. | Księga cudów, doznanych za sprawą Najświętszej Paniienki Częstochowskiej | 35 |
| 8. | Święci Patronowie i Patronki, opowieści religijne, zebrane przez Michała Synoradzkiego | 40 |
| 9. | Drogą Świętych Męczenników wśród pogan (z ilustracyami) | 52 |
| 10. | Historia illustrowana Kościoła Świętego Rzymsko-katolickiego w obrazach i życiorysach | 73 |
| 11. | Sławni dostojnicy Kościoła | 78 |
| 12. | W szwedzkich szponach: Opowieść z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów, przez Stefana Gębarskiego | 82 |
| 13. | Nowiny z Częstochowy: Jego Ekscełencya ks. Stanisław Zdziłowiecki, biskup kujawsko-kaliski na Jasnej-Górze. — Z okazji przywrócenia Przeorowi klasztoru Jasnogórskiego przywilejów opackich, nadanych przez Klemensa XIV. — Poświęcenie szkoły. — Szkoła Muzyczna p. Ludwika Wawrzynowicza w Częstochowie. — Kompanie. — Ofiary | 92 |
| 14. | Nowiny z daleka i z bliska: Z Sułoszowy, dyecezyi Kieleckiej. — Z dyecezyi Płockiej, parafia Sadłowo. — Z nad Warty, z Mrzygłoda. — Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół | |

| | | |
|-----|--|-----|
| | Najśłodszego Serca Jezus i Maryi w Scranton, Pa, w Ameryce | 106 |
| 17. | Od Redakcyi | 113 |

ILLUSTRACYE:

| | | |
|-----|---|-----|
| 1. | Nowy Rok | 1 |
| 2. | Trzej królowie oddają Dzieciątku Jezus pokłon i składają w darze: myrrę, kadzidło i złoto | 17 |
| 3. | Warszawa: Kościół po-Bernardyński z relikwiami błogosławionego Ładysława z Gielniowa. (według dawnego obrazu). | 41 |
| 4. | Afryka. Śmierć murzyna-niewolnika podczas polowania na słonie. | 53 |
| 5. | Afryka. Walka murzynów z handlarzami niewolników | 59 |
| 6. | Afryka. Pochód murzynów-niewolników przez pustynię | 65 |
| 7. | Murzyn-niewolnik szuka schronienia w misyi katolickiej. | 71 |
| 8. | Kompania z parafii Przasnysz, dyecezyi Płockiej, pod przewodnictwem swoich pasterzy, u stóp Jasnej-Góry | 83 |
| 9. | Kompania z parafii Rokitno, gub. Kieleckiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry. | 89 |
| 10. | Najprzewielebniejszy Ojciec Euzebiusz Rejman, Generał zakonu Paulińskiego na Jasnej-Górze w Częstochowie | 97 |
| 11. | Z Sułoszowy, dyecezyi Kieleckiej. Duchowieństwo, żegnające ks. Czesława Wojnę, opuszczającego dekanat olkuski | 107 |





Na Rok Nowy dzwon dzwoni: wiarą, miłością, nadzieją...
Bogarodzico, niech nam cnoty te wiecznie jaśnieją!
Z tronu Twego ziemskiego, Jasnogórskiej świątyni,
Niech łask Bożych zdrój żywy raj na ziemi uczyni!...



W dzień Nowego Roku.

W tym nowym roku, Ojczy nasz,
Błogosław dzieciom Swym...
Ach, nie opuszczaj i nie karz,
Zbaw wierne, przebacź złym!...

Tym, co bez dachu, kącik daj!
Chleba — cierpiącym głód,
Litością Swą ogarnij kraj
I łaski daj nam cud!...

Opieką Swą sierotę chroń
Śród ciężkich życia prób;
Zroszoną potem ochłódź skroń,
Nadzieją otocz grób!

Ach, nie opuszczaj i nie karz,
Zbaw wierne, przebacź złym,
W tym nowym roku, Ojczy nasz,
Błogosław dzieciom Swym!...

Jadwiga baronowa Reiska.



Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

**Cześć i chwała Przenajświętszej, Niepokalanej Jego Matce-
Dziewicy!**

Tem starodawnem pozdrowieniem otwieramy rok piąty działalności naszej, działalności przedsięwziętej celem krzewienia wśród rodzin naszych wiary świętej, uczuć szlachetnych, zbożnego pożytku. A jednocześnie z pozdrowieniem, wyrażamy bliskim i dalekim Przyjaciołom naszym życzenia braterskie, ujmując je również w starodawną formę: zdarzaj nam Boże Wszechmocny pomyślność, wedle nieograniczonego miłosierdzia Twego, wedle ojcowskiej dobroci i wyrozumiałości Twojej. Przedewszystkiem życzymy Wam, Drodzy Przyjaciele, jak również sobie, niezłomnego wytrwania w Zakonie Bożym, wytrwania w spełnianiu obowiązków, w znoszeniu zawodów życiowych; wytrwania w miłości Boga i bliźnich, w miłości prawdy i dobra; wreszcie wytrwania w nadziei miłosierdzia Bożego, w nadziei zwycięstwa sprawiedliwości, w nadziei tryumfu czystego serca i nieskalanego sumienia nad jarzmem pokus. Wytrwałość ową zyskamy nieomylnie, jeśli myśli i uczynki nasze zawsze zwracać będziemy do Boga, jeśli wszystko z Nim rozpoczynać i z Nim kończyć będziemy; jeśli nie zapomnimy starać się kornie o orędownictwo do Niego Tej, „co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci bramie“: Przenajświętszej, Niepokalanej Matki-Dziewicy. Przy niezłomnej wytrwałości w spełnianiu obowiązków względem Boga i bliźnich, znajdzie się pomyślność, znajdzie się w danym razie otucha i pociecha, znajdzie się puklerz przemożny, niedopuszczający zwątpienia i rozpacz, tych dwóch najgorszych chwastów, z których wszystko zło się pleni na świecie; znajdziemy wreszcie zawsze na na-

szem niebie, nawet wśród burz i wichrów życiowych, gwiazdę, która nam nie pozwoli zboczyć na manowce i jasno oświecać będzie drogę do spokoju sumienia, po której dążąc, uzyskamy cel trudów doczesnych — zbawienie wieczne. — Wiary i wytrwania! — powtarzał Kordecki garstce walecznych, broniących z nim razem Jasnej-Góry przeciwko tysiącom szwedzkim. Garstka owa, słuchając zakonnika-bohatera, odniosła świetny, wiekopomny tryumf. — Wiary i wytrwania! — życzymy Wam, Drodzy Przyjaciele, w dniu Nowego Roku, będąc tego przekonania, że nic lepszego życzyć nie można. Zaś dla umocnienia tych życzeń będziemy pracowali usilnie nadal, jak pracowaliśmy dotychczas. A jako pierwszy odzew pracy naszej, jako pierwszą pobudkę, dajemy Wam obok opowieść, wyjętą z nieprzebranego skarbca pociechy—z Ewangelii Ś-ej, treść bowiem tej opowieści życzeniem naszym właśnie odpowiada.

Redakcja.



Za gwiazdą Wiary — do Zbawienia.

Opowieść noworoczna.

Jarem przerzynającym pasmo gór Dżebel-Zublech, ze szczytów których można widzieć krainę arabską, posuwał się ku płaskim, jak stół, równinom, w stronie wschodnio-południowej leżącym, podróżny. Miał lat przeszło czterdzieści. Obfita broda, siwizną posrebrzona, spadała mu na piersi, zawój, *kefią* zwany, osłaniał brunatną twarz jego tak szczelnie, że zaledwie z pod niego wielkie, czarne oczy wyzierały. Ponieważ siedział na wielbłądzie, pod małym namiotem, do siodła przytroczonym, i ponieważ był przybrany w szaty fałdziste, nie można było ogarnąć wzrokiem jego postaci.

Około godziny dziesiątej, kiedy słońce dobrze już przygrzewało, wielbłąd wysunął się z jaru, wydał rodzaj ryku żałosnego. Podróżny wtedy rozejrzał się dokoła, spojrzał na słońce i szepnął z zadowoleniem:

— Nareszcie!

Poczem złożył ręce na piersiach, pomodlił się z namaszczeniem, a to uczyniwszy, wymówił:

— Ikh! Ikh!

Wielbłąd zrozumiał rozkaz, przykląkł skwapliwie, a jeździec zsunął się na ziemię i stanął na piaskach pustyni.

Teraz przedstawił się jako mąż wzrostu średniego, kształtny, silny; czoło miał szerokie, nos orli, włosy bujne, o metalicznym połysku, spadały mu na barki w licznych splotach. Cechy te, jak również odzież, wskazywały Egipcyanina. Pod płaszczem brązowym bowiem, zwanym *abba*, nosił *kamis*, to jest białą koszulę bawełnianą z wązkiemi rękawami, do kostek sięgającą, przyozdobioną haftem około szyi i na pier-

siach; za obuwie używał sandałów, przytwierdzonych do nogi rzemieńcami z miękkiej skóry.

Rozprostowawszy ścierpłe w długiej podróży członki, z wytężenemi jał się wpatrywać w odległe krańce pustyni, ale suać oczy jego nie znalazły tego, czego się spodziewał, bo wstrząsnął głową i wyraz zawodu na twarzy jego się odbił. Po chwili, wyjął z pudła, przytroczonego również do siodła, gąbkę i naczynię z wodą, obmył pysk, ślepie i nozdrza wielbłąda, zawiesił mu u pyska worek z fasolą; następnie rozbił na piaskach pustyni namiot, z płótna w białe i czerwone pasy, rozłożył w nim ko-bierzec, na którym poustawiał baraninę wędzoną i suszoną, chleb, ser, syryjskie jabłka granatowe, daktyle, wino i sok palmowy. Wszystkie te zapasy, wydobyte z worów, obciążających wielbłąda, przykrył trzema płatami tkaniny jedwabnej, którą możniejsi mieszkańcy Wschodu ostaniają sobie kolana podczas jedzenia.

Przygotowania świadczyły, że podróżny oczekuje na dwóch spółbieszczadników. Ale jakoś się nie zjawiali. Podróżny nie tracił nadziei. Mówił do siebie:

— Dom nasz daleko, lecz Bóg jest z nami. On mnie tu przywiódł i ich przywiedzie. Czekajmy cierpliwie.

Niebawem w oddali ukazał się wielbłąd biały, dźwigający *hondahem*, to jest lektkę (krzesło przenośne z baldachinem), jakich używają w Hindostanie. Egipcyanin złożył ręce na piersiach i szepnął z rozrzewnieniem:

— Zaiste, Bóg jest wielki!

Nowoprzybyły, spostrzegłszy namiot i Egipcyanina, okazał wzruszenie. Również skrzyżował ręce na piersiach, a pomodliwszy się, zsiadł z wielbłąda, zbliżył się do Egipcyanina. Przywitali się zwyczajem wschodnim, to jest każdy położył prawą rękę na ramieniu drugiego, lewą otoczył go w pasie, głowę zaś kładli sobie wzajem to na lewem, to na prawem ramieniu. Nowoprzybyły rzekł:

— Pokój tobie, wyznawco Boga prawdziwego!

— I tobie pokój, bracie prawdziwej wiary! — odparł Egipcyanin.

Drugi podróżny był wysoki, szczupły, barwę skóry miał miedzianą; oczy jego zapadłe, rozjaśnione blaskiem żywotności ducha, spoglądały łagodnie; włosy miał białe, także biała broda spływała mu na piersi. Szaty okazywały mieszkańca Hindostanu. Więc na głowie jego widniał wielki turban, utworzony ze zwojów jedwabnego szala; płaszcz miał podobny do egipskiego *abba* lecz krótszy, pozwalający dostrzedz bufiaste, u kostki ściągnięte, szarawary; zamiast sandałów nosił pantofle z czerwonej skóry, spiczasto zakończone; cała jego postać tchnęła wspaniałą powagą.

— Potężny jest Bóg! — rzekł po przywitaniu.

— A błogosławieni ci, którzy mu służą — odparł Egipcyanin i dodał: — Patrz, bracie, trzeci przybywa:

Jakoż ze strony północnej zbliżał się jeszcze jeden podróżny, również na białym wielbłądzie.

W tym odrazu można było poznać Greka. Cerę miał białą, budowę węższą, włos kędzierzawy, spojrzenie rozumne. Z pod zwojów purpurowego płaszcza, widniała tunika z krótkimi rękawami, wycięta u szyi, sznurem zebrana w pasie, sięgająca do kolan. Zresztą szyja, ręce i nogi były obnażone. Jak tamci, dwaj podróżni i ten broni żadnej nie posiadał.

Egipcyanin, przywitawszy nowego towarzysza, przemówił temi słowy:

— Pierwszy przybyłem na miejsce przeznaczone, więc czuję się wybranym na sługę waszego, bracia moi. Oto namiot, a w nim posiłek. Pozwólcie, proszę, iżbym pełnił powinność moją.

To rzekłszy, zaprowadził dwóch podróżnych do namiotu, usadowił na kobiercu, obmył im nogi i ręce; następnie dokonawszy ceremonii obmycia na sobie, rzekł:

— Pamiętajmy, bracia, że powołani jesteśmy do służby, wymagającej sił; przeto wzmocnijmy ciało pożywieniem, a duszę opowieścią, skąd przybywamy i dokąd dążymy.

Tamci skinęli głowami na znak zgody, lecz zanim do posiłku się zabrali, odmówili głośno modlitwę:

— Boże Wielki, Boże Wszechmocny, Ojcze wszystkich! Co tylko mamy, od Ciebie pochodzi, przyjmij więc nasze dzięki i pobłogosław nam, pozwól i nadal spełniać wolę Twoją...

Gdy wymawiali te słowa, zdumienie ich ogarnęło, bo oto każdy z nich mówił językiem wcale mu dawniej nieznanym, a przecież rozumiał i siebie, i tamtych. Więc dusze ich przejęło wzruszenie, po tym cudzie poznali, że Bóg jest pośród nich.

Po chwili, Egipcyanin tak począł:

— Niema nic słodsze go dla podróżnego na obczyźnie, jak usłyszeć z ust przyjaciela jego własne imię. Mamy przed sobą wiele dni życia wspólnego, więc należy nam się poznać. Jeżeli nic nie macie przeciwko temu, niech naprzód o sobie opowie ten, który przybył ostatni.

Greki nie opierał się, zaraz też przemówił:

— To, co mam opowiedzieć, jest tak nadzwyczajne, że nie wiem, od czego zacząć... Nie rozumiem sam siebie od pewnego czasu, ale wierzę, iż otrzymałem od Boga posłannictwo, którem się szcycę, które mnie napełnia niewysłowioną radością... Słuchajcież!

Ojczyznę moją Grecyą, a jam jest Gaspar, Ateńczyk, władca panujący. Naród mój słynie z zamiłowania do wiedzy i jam się też od społ-

ziomków nie odrodził. Dwaj wielcy mędrcomie nasi nauczali, o duszy ludzkiej, o jej nieśmiertelności, wierzyli w Boga i Jego najdobrośliwszą sprawiedliwość. Z zapalem zgłębiałem ich naukę, chciałem bowiem poznać Boga prawdziwego. Przeczuwałem, że istnieje związek pomiędzy Bogiem a duszą, ale rychło spostrzegłem, że umysł ludzki może tylko do pewnego stopnia ten związek wyjaśnić, gdyż dalej wiedza nasza spotyka nieprzewyciężone zapory, których bez pomocy nadzwyczajnej usunąć nie można. Tej pomocy szukałem, lecz daremnie.

Opuściłem tedy krainę, gdzie miał panowanie i udałem się do Tesalii. W tej prowincyi mojej ojczyzny znajduje się góra, uważana za przybytek bogów naszych. W pobliżu onej góry, znalazłem jaskinię, a zamieszkawszy w niej, oddałem się rozmyślaniom. Wciąż błagałem o objawienie prawdy, ufność zaś moja była wielka. Wiedzieć jeszcze, że błagałem o to Boga niewidzialnego lecz wszechmocnego, gdyż w Niego wierzyłem.

— I otrzymałeś odpowiedź? — zapytał Indus.

— Słuchajcie uważnie — przestrzegł Grek i ciągnął dalej:—Jaskinia moja wychodziła na morze, na zatokę Cernaik. Dnia pewnego ujrzałem człowieka, spadającego w morze z okrętu, który właśnie odbijał od lądu. Człowiek ten wy dostał się na brzeg i znalazł u mnie schronienie.

Był to uczony Izraelczyk. Zaznajomił mnie z dziejami i prawami swego narodu; od niego dowiedziałem się, że Bóg, którego o pomoc wzywałem i którego czciłem, istnieje rzeczywiście, oraz, że przed wiekami był prawodawcą Izraela. Poznałem w tem objawienie, na które czekałem. Wiara moja nie była próżną, Bóg usłyszał wołanie moje i skłonił się raczyć do błagań...

— Zawsze wysłuchują tych, którzy Go wzywają z wiarą — zauważył Indus.

— Czemuż, niestety, mało jest takich, którzy rozumieją objawienie?! — nadmienił Egipcjanin.

— To jeszcze nie wszystko — podjął Grek — słuchajcież dalej. Ów Izraelczyk powiedział mi nadto, że objawienie Boże dane było tylko dla jego ludu i na zawsze własnością ludu jego pozostanie. Prorocy izraelscy, którzy w pierwszych wiekach po objawieniu mówili z Panem, zostawili obietnicę, że Bóg przyjdzie znowu, a to drugie Jego przyjście oczekiwane jest obecnie lada chwila w Jeruzalem. Bóg, który ma przyjść, będzie królem Izraela. Zapytałem wtedy Izraelczyka, czy Bóg nic nie uczyni dla reszty świat? Odparł mi dumnie:

— Nic nie uczyni, bo my tylko jesteśmy Jego ludem wybranym.

Odpowiedź ta nie zniweczyła moich nadziei. Nie mogłem opuścić, żeby Bóg miał ograniczyć Swoją miłość i miłosierdzie na jednym

tylko narodzie. Postanowiłem koniecznie zbadać tę tajemnicę. Nareszcie udało mi się złamać pychę Izraelczyka — wyznał mi, że jego ojcowie byli tylko wybranymi sługami, przeznaczonymi do przechowywania wiary w prawdziwego Boga, aby kiedyś świat cały poznał Żywą Prawdę i uzyskał zbawienie.

Gdy Izraelczyk mnie opuścił, modliłem się gorąco, abym dostał szczęścia oglądania Króla, jeśli przyjdzie, abym mógł cześć Mu oddać. Raz nocą, siedząc przed jaskinią, rozmyślałem, usiłując zbliżyć się umysłem do tajemnic mego istnienia. Nagle po nad głową moją ujrzałem gwiazdę niezwykle świetnego blasku. Padłem na ziemię i usnąłem, a we śnie usłyszałem głos mówiący:

— Gasparze! Wiara twoja zwyciężyła, bądź błogosławiony! Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich krańców ziemi, zobaczycie Tego, który jest obiecany, abyście o Nim świadczyli, gdy będzie potrzeba cudów na potwierdzenie Jego prawdziwości. Wstań, idź, a ufając Duchowi, który cię prowadzić będzie, spotkasz ich.

Wstałem, a Duch towarzyszył mi wśród blasku światła, jaśniejszego nad słońce. Zabrałem moje zapasy pustelnicze, zabrałem skarb, który z sobą niegdyś przyniosłem, udałem się okrętem do Antyochii, a stamtąd, kupiwszy wielbłąda, dostałem się przez Emesę, Damaszkę, Bostre, aż tutaj.

Umilkł Grek, po nim przemówił Indus:

— Zowią się Melchior, ojczyzną moją jest Hindostan. Władalem tą krainą, a obok tego byłem kapłanem, czyli, jak u nas mówią, braminem. Religia moja nie zadawała mi, czułem dziwną próżnię w duszy, więc szukałem spokoju i ukojenia w samotności. Udałem się na puszczę, w góry Himalajskie i tam postanowiłem przebywać tylko z Bogiem, oczekiwać wśród modlitwy i postu śmierci. Pewnej nocy żal wezbrał we mnie tak, że zawołał:

— Kiedyż przyjdzie Bóg i wybawi mnie? Czy jest odkupienie?

W tej chwili zajaśniała nad głową moją gwiazda dziwnych blasków i usłyszałem głos:

— Miłość twoja zwyciężyła, bądź błogosławiony, synu Indyj. Odkupienie się zbliża. Z dwoma innymi, którzy przyjdą z różnych stron świata, ujrzycie Odkupiciela i świadczyć będziecie o Nim. Skoro zaświta, udaj się na spotkanie towarzyszków, a całą wiarę złóż w Ducha, który was prowadzić będzie.

Odtąd gwiazda mnie prowadziła, widziałem, że jest ona znakiem obecności Ducha. Po drodze znalazłem kamień wielkiej wartości, który sprzedałem w Huddwar. Przez Lahorę, Kabul i Ized przybyłem do Isbahanu, gdzie kupiłem wielbłąda. Stamtąd prowadziła mnie gwiazda

aż tu. Jakże wielkiej doznaliśmy łaski, bracia! Zobaczymy Odkupiciela, będziemy mówili do Niego, oddamy Mu cześć.

Z kolei przemówił Egipcjanin:

— Imię moje Baltazar, urodziłem się w Aleksandryi, z rodu królów i kapłanów. Wcześniej uczułem niezadowolenie z mojej religii. Wierzyłem, że dusza ludzka do wyższych celów jest przeznaczona, a zatapiając się w rozmyślanie, doszedłem do tego, że śmierć jest tylko kresem, po za którym źli idą na potępienie, sprawiedliwi zaś do życia lepszego, pełnego radości: do życia z Bogiem i w Bogu. Opuściłem świat, udałem się na pustynię, w głąb Afryki. Ludzi tam nie było, ale był Bóg. Czas spędzałem na rozmyślaniach i modlitwie, wśród palm. Tęsknota przenikała duszę moją. Wołałem w myśli:

— Ludzkość ginie! Kiedyż przyjdiesz, o, Boże? Czy nie będę oglądał odkupienia?

I oto pewnej nocy nad głową moją zajaśniała świetna gwiazda. Upadłem na ziemię, kryjąc twarz w dłoniach. W tej chwili usłyszałem głos:

— Nadzieja twoja, Baltazarze, zwyciężyła! Z dwoma innymi, przybyłymi z różnych krańców świata, zobaczysz Zbawiciela, aby o Nim świadczyć. Wstań, idź na ich spotkanie. A gdy przybędziecie do świętego miasta Jeruzalem, zapytajcie ludzi:

— Gdzie jest Ten, który się narodził, Król żydowski. Albowiem widzieliśmy gwiazdę Jego na Wschodzie, idziemy przeto, aby Mu cześć oddać.

Dodał jeszcze głos:

— Złóż ufność w Duchu, który cię prowadzić będzie.

Gwiazda odtąd prowadziła mnie. W Memfis kupiłem wielbłąda, przebyłem Suez, Kufilech, kraje Moabbu i Ammonu, zatrzymałem się aż tutaj.

Egipcjanin skończył opowieść. Wówczas wszyscy trzej, ulegając sile wewnętrznej, podali sobie ręce.

— Bóg nas natchnął, On nas prowadzi — odezwał się Baltazar. — Gdy znajdziemy Odkupiciela, wszelkie narody wraz z nami cześć Mu oddadzą.

Zapanowało milczenie, przerywane westchnieniami i uświęcone łzami. Lecz były to łzy szczęścia, łzy radości dusz, które dosięgły brzegów Zdroju Żywota, — dusz spoczywających w Odkupicielu i upojonych obecnością Boga.

Po chwili trzej królowie-mędrcy zwinęli namiot i ruszyli w drogę. Jechali zwolna, pogrążeni w zadumie, osrebrzeni blaskami księżyca, który po zachodzie słońca wypłynął na niebo... Naraz tuż nad nimi za-

jaśniało silne, wspaniałe światło. Podnieśli głowy, serca ich uderzyły uczuli żwawiej dreszcz święty w istotach swoich. Ogarnięci wzruszeniem, zawołali głosem wielkim:

— To Gwiazda Wiary! Za nią dążmy — do Zbawienia!

*

*

*

W pobliżu Jeruzalem, gwiazda znikła. Mędrcy jednak nie zatrzymywali się, jechali wciąż przed siebie. Nad brzegiem strumienia, w dolinie Cedronu, spotkali mnóstwo ludzi, którzy przyglądali im się ciekawie. Baltazar zapytał gromadki niewiast:

— Dobrze niewiasty, daleko stąd do Jerozolimy? .

— Niedaleko — odparły zapytane. — Wkrótce zobaczycie wieże miasta świętego.

— A gdzie mamy szukać Króla żydowskiego, który się narodził? — zapytał znów Baltazar.

Niewiasty milczały, ramionami wzruszając.

— Zali nie słyszeliście o Nim? — nalegał Egipcyanin.

— Nie słyszeliśmy.

— Opowiadajcież wszystkim, żeśmy widzieli Jego gwiazdę i że przybywamy oddać Mu cześć.

To rzekłszy, podążył z towarzyszami dalej.

Niebawem stanęli przed murami Jerozolimy, przed bramą Damasceną. Egipcyanin rzekł do strażnika:

— Przybywamy z daleka, szukając Tego, który się narodził, Króla żydowskiego. Czy nie możesz nam wskazać, gdzie Go znajdziemy?

Żołnierz zawołał setnika, ten naprzód odsunął rzesze, które się cisnęły tłumnie, zwabione widokiem, cudzoziemców, następnie zapytał Baltazara:

— Czego chcecie?

— Gdzie jest Ten, który się narodził, Król żydowski? — powtórzył Baltazar.

— Idzie wam o Heroda? — mruknął setnik. — Innego króla żydowskiego niema.

— Pragniemy widzieć Nowonarodzonego Króla, aby Mu cześć oddać. Wiemy napewno, że przyszedł na świat, bo oglądaliśmy Jego gwiazdę.

Setnik spojrział na nich podejrzliwie, myślał przez chwilę, następnie rzekł:

— Nie jestem Żydem, nic nie wiem o Nowonarodzonym Królu żydowskim. Udajcie się do uczonych Żydów, do doktorów, do kapłana Annasza, oni może was objaśnią...

Mędrcy-królowie udali się naprzód do gospody, aby wypocząć; w drodze Baltazar szepnął towarzyszom:

— Przed północą całe miasto będzie widziało o naszym posłannictwie, zatem osiągnęliśmy cel w pewnej mierze.

W tym samym czasie, kiedy mędrcy jechali do gospody, w pałacu Heroda uczeni izraelscy odbywali wielką radę. Zwołał ją sam Herod, odbywała się zaś w wielkiej komnacie, urządzonej na sposób rzymski. Więc posadzka była w komnacie onej marmurowa, ściany bez okien, malowane na żółto. Pośrodku stała długa, półkolisto zatoczona ława, wysłana żółtymi poduszkami, naprzeciw niej olbrzymi trójnóg spiżowy, złotem i srebrem wykładany, nad nim zwieszał się od stropu świecznik o siedmiu ramionach, z zapalonym w każdym ramieniu kagańcem.

Wszyscy uczestnicy rady byli mężami w latach podeszłych. Przewodniczył słynny z mądrości Hilel, Babilończyk, sto sześć lat dźwigający na barkach, przed którym, na stole, leżały zwoje pargaminów, zapisanych hebrajskim charakterem.

Uczeni mężowie naradzali się długo, wreszcie dali znać Herodowi, że już mogą odpowiedzieć na zadane przez niego pytanie. Herod zjawił się niezwłocznie. Był to starzec o niemiłej, odstręczającej powierzchowności. Miał na sobie szatę purpurową, obrzeżoną szkarłatem, zgarbioną pasem złotym, na głowie koronę, na stopach obuwie, lśniące od klejnotów. Postępował ciężko, wspierając się na lasce, rzucając dokoła spojrzenia podejrzliwe, groźne. Zatrzymawszy się naprzeciwko Hilela, rzucił szorstko:

— Odpowiedź? Jaka odpowiedź?

Hilel, patrząc śmiało w oczy Heroda, rzekł:

— Pytałeś nas, o królu, gdzie się ma narodzić Chrystus? Otóż w swoim i całej rady imieniu odpowiadam: w Betlehem judzkim, albowiem napisano jest przez Proroka — tu starzec dłonią drżącą wskazał pargaminy:— „I ty, Betlehem nie jesteś najmniejsze pomiędzy książętami judzkimi, gdyż z ciebie wyjdzie Panujący w Izraelu, a wyjście Jego od początku, ode dni wieczności.”

Oczy Heroda zapłonęły złowrogo, zaciął usta i słowa nie wyrzekłszy, odszedł. Rada niezwłocznie pałac opuściła.

A królowie wypoczywali w gospodzie, rozmyślając o swoim cu-downem powołaniu. Oto już są w Jerozolimie, wszędy rozpytywali o Tego, którego szukali, wszędy oznajmiali Jego narodzenie. Teraz pozostaje im tylko znaleźć Go i hołd Mu złożyć, ale i w tem zdawali się

na Ducha Bożego. Rozmyślania przerwał im dworzanin Heroda, który ich wezwał do pana swego. Odpowiedzieli, że stawia się niezwłocznie. Gdy dworzanin odszedł, spojrzeli na siebie i poznali, że Duch wciąż jest z nimi. Egipcyanin rzekł do stróża gospody:

— Idziemy do króla Heroda, ty zaś przygotuj wielbłądy nasze, żebyśmy, wróciwszy, mogli zaraz w drogę wyruszyć.

Herod przyjął ich w komnacie paradnej, wystanej kobiercami, lśniącej od złota, srebra, marmurów i drogich kamieni. Siedział na tronie, kunsztownie rzeźbionym. Starał się okazać uprzejmym, przemawiał łaskawie, słodko, usiłował twarzy swej nadać wyraz dobrośliwy.

— Spocznijcie — tak przemówił, wskazując mędrcom wygodne siedzenia. — Zali wy jesteście cudzoziemcami, przybyłymi ze stron dalekich?

— Tak jest, o, panie! — odparli.

— Skąd przybywacie? Dokąd dążycie?

Mędrcy wymienili krainy, z których przybyli do Jerozolimy.

— O cóż to pytałicie setnika przy bramie i ludzi po drodze? — badał Herod.

— Pytaliśmy, gdzie jest Ten, który się narodził, Król żydowski.

— Rozumiem teraz, dlaczego wzbudziliście taką ciekawość, bo i ja jestem zaciekawiony. Czy bowiem jest inny król żydowski, oprócz mnie?

— Jest, panie, Nowonarodzony.

— A gdzież On?

— Tego właśnie pragniemy się dowiedzieć.

Herod sposepniał.

— Powiedzcie, co więcej wiecie, a uczczę was, jako równych sobie? — odezwał się podstępnie. — Powiedzcie wszystko, co wiecie o Nowonarodzonym, a pójdę z wami szukać Go... Skoro Go znajdziemy, zrobimy, co zechcecie. Przywiodę Go do stolicy, nauczę sztuki panowania, zalecę cesarzowi rzymskiemu...

Mędrcy milczeli.

— Powiedzcież chociaż — nalegał Herod — jakim sposobem, oddzieleni morzem i pustynią, mogliście o Nim usłyszeć?

— Była w tem ręka Wszechmocnego Boga — odparł Baltazar.

Herod zadrżał.

— Boga? — powtórzył z odcieniem trwogi.

— Tak jest — potwierdził Egipcyanin. — On nam kazał przyjść tu, On oznajmił, że znajdziemy Zbawiciela świata, że Go zobaczymy, że będziemy mogli oddać Mu cześć i świadczyć o Nim. A jako znak, wzeszła nad nami gwiazda Jego, Duch Jego był z nami, jako i teraz, o, królu, Duch Jego tu również jest obecny.

— Drwicie ze mnie! — rozśmiał się z przymusem Herod. — Czy podobna wierzyć waszym bredniom? Po co by miał przychodzić jakiś Król nowy?

— Aby ludzi odkupić, wybawić od grzechu.

— Jakim sposobem?

— Mocą Bożą, królu, przez wiarę, miłość, przez uczynki dobre...

— A! — rzekł Herod głosem stłumionym — więc jesteście posłańcami Chrystusa...

Klasnął w dłonie, przybiegłemu na ten znak dworzaninowi szepnął coś do ucha. Dworzanin po chwili przyniósł trzy płaszcze i trzy pasy złote, a Herod obdarował nimi mędrców. Potem zapytał jeszcze:

— Setnikowi mówiliście o jakiejś gwiazdzie?

— Tak jest, o, królu, o gwiazdzie Nowonarodzonego.

— Kiedyż się ona ukazała?

— W chwili, gdy otrzymaliśmy rozkaz i poselstwo.

Herod powstał z tronu, zbliżył się do mędrców i rzekł:

— Wierzę, cni mężowie, pełni mądrości, żeście posłańcami Chrystusa. Otóż wiedzcież, że dzisiaj, przed waszem przybyciem, pytałem najświadoszych w tych rzeczach Żydów, którzy jednomyślnie orzekli, że Chrystus ma się narodzić w Betlehem, w Ziemi Judzkiej. Jedźcie więc tam, a gdy znajdziecie Nowonarodzonego, przynieście mi wieść o tem, żebym i ja mógł hołd Mu złożyć. Pamiętajcież o mojem żądaniu, a teraz — pokój z wami!

Mędrcy, opuściwszy pałac, postanowili udać się za radą króla. Jakż czasu nie tracąc, wyruszyli do Betlehem.

Gdy się znaleźli w dolinie Refaim, ukazała się znów gwiazda i posuwała się przed nimi, jakby drogę wskazując. Na widok znaku cudownego, serca mędrców rozradowały się, zawołali z uniesieniem:

— Bóg jest z nami! Bóg jest z nami!

I dążyli za gwiazdą, modląc się, sławiąc Wszechmocnego.

Nadzwyczajny blask gwiazdy zbudził mieszkańców Betlehemu. W pierwszej chwili ogarnęło ich przerażenie, sądzili bowiem, że miasto całe płonie. Ale mędrcy uspokoili ich, mówiąc:

— Nie trwożcie się, albowiem nie klęska to, lecz znak Boży, który nam, cudzoziemcom, wskazuje drogę do Chrystusa-Odkupiciela. Gwiazda zatrzymała się tu, nad miastem, tu więc musiał narodzić się Chrystus. Czy nikt z was nie wie o Nim?

— Marya z Nazaretu powiła Dziecię w grocie, pod miastem i już nam pasterze mówili, że Nowonarodzony jest Chrystusem, bo oznajmili mi o tem Aniołowie — odpowiedziano.

— Nietylko pasterze słyszeli głosy anielskie — dorzucili inni. — Myśmy również je słyszeli, a nadto widzieliśmy światłość wielką tej nocy, kiedy się Dzieciątko narodziło.

— Jesteśmy u celu! — zawołali mędrcy. — Śpieszmy co żywo do groty...

Weszli do groty, niosąc z sobą zdjęte z wielbłądów dary, a za nimi wtoczyła się gęsta ciżba. W grocie znaleźli Matkę z Dzieciąciem.

— Niewiasto — odezwał się Baltazar — szukamy Chrystusa-Zbawiciela.

Marya zaś, uniosła Dziecię na rękach, mówiąc:

— Oto Syn mój!

Królowie-mędrcy upadli na ziemię, oddali Dzieciąciu pokłon, następnie złożyli Mu w darze: myrrę, kadziło i złoto.

Mieli przed sobą Dziecię wątłe, ubożuchne, nędzą otoczone, jednak modlili się do Niego, pełni ufności, niezachwiani w wierze.

Wiara niezłomna uświęciła ich, doprowadziła do Chrystusa, który jest Zbawieniem.





**Trzej królowie oddali Dzieciątku Jezus pokłon i złożyli w darze:
myrrę, kadzidło i złoto.**



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Arcybiskup Popiel o cudzie w Kanie nadmienia:

Wesele kanejskie jest obrazem nowych godów, jakie Chrystus przygotował wybranym Swoim, do których to godów nie przychodzi się przez rozkosze, lecz owszem przez trudy i gorzkości życia. Kto chce uczestniczyć w weselach niebieskich, musi w tym żywocie doczesnym karmić się cierpkościami, pić ostre wino pokuty. Dlatego Psalmista Pański mówi: „Napoileś nas winem żalości“. Przeciwnie poganie, niedowiarkowie i heretycy, na wzór godowników żydowskich, w tem życiu piją słodczy doczesne, nie zważając, co ich na spodzie kielicha czeka. I zdają się tylko wołać, jak owi bezbożnicy, o których mówi Pismo Święte:

— „Używajmy dóbr niniejszych, a zażywajmy rzeczy stworzonych prędko, jako w młodości. Winem drogiem i olejkami się napełniamy, a niech nas nie mija kwiat czasu. Chodźmy w wieńcach różanych, dopóki nie uwiedną, żadna łąka niech nie będzie, którejby przejść nie miała rozpustność nasza.“

Gospodarz wesela nie mógł zrozumieć znaczenia cudu, bo nie wiedział, jakiego miał Gościa, który jak rosa i deszczem zasila winną latorośl, aby rodziła grona, tak w jednej chwili mógł zamienić wodę w wino. Łatwo sobie wystawić zdumienie oblubieńca i godowników, gdy „zamiast wody, wino czerpali” — tem więcej, że to był początek cudów Jezusa, wywołany prośbą Matki Jego, która się wstawiła za biednymi ludźmi, nie mającymi czem przyjąć gości. Jakże więc skutecznie będzie się przyczyniała za nami Ta Matka w prawdziwych nieśczęściach naszych i niebezpieczeństwach, grożących zbawieniu? Wstawi się ta Dobra Pani za nami, ale trzeba, byśmy Jej poleceniom byli równie posłusznymi, jak słudzy gospodarza kanejkiego. Powiedziała im bowiem Marya, ukazując na Syna Swego:

— „Cokolwiek wam rzecze, czyńcie”.

Jestto przestroga, którą nieustannie powtarza wszystkim sługom Chrystusa: cokolwiek wam nakaże, nie wahajcie się spełnić, choćby wam się to trudnem, a nawet przykrem wydało. Napemniać stągwie wodą, to co z tego będzie? Iść i opowiadać poganom i mocarzom pokutę, niedowiarkom opowiadać dusz zmartwychwstanie — na co się przyda? Będzie z tego Kościół katolicki. Jak woda zmieniła się w wino i nasze niedostatki duchowe, ta cnota wodnista, może się zmienić w wino dobrych uczynków, byleśmy czynili wszystko, co Jezus nakazuje.

W Kanie Jezus zatrzymał się krótko, następnie udał się do Kafarnaum, w towarzystwie Maryi, krewnych i uczniów. Podróż tej nie należy brać za jedno z drugą, którą później odbył do tegoż Kafarnaum, aby stale tam zamieszkać.

Odległość z Kany do Kafarnaum wynosi dzień drogi. Droga owa wije się wśród wzgórz, zniżając się coraz bardziej, wreszcie wpada pomiędzy dwie ściany skaliste, których boki strome, podobne do murów olbrzymich, mnóstwem pieczar poprzerywane, tworzą wąwóz Wadi-el-Hamam. Niedostępne te pieczary, dziś zapełnione chmarami gołębi, za czasów Heroda stanowiły schronienie rozbójników. Wąwóz Wadi-el-Hamam wychodzi na jezioro oraz na równinę Gennezar (Genezaret), bujną zielenią porośłą.

Jezus z gromadką swoją, minawszy miasteczka Magdale i Betsaidę, stanął w Kafarnaum pod wieczór. Były to strony ojczyste uczniów Jego. Rodziny Jana, Andrzeja, Szymona i Filipa mieszkały w Betsaidzie, ale Szymon, już żonaty, miał w Kafarnaum dom, który zdaje się był miejscem urodzenia świekry jego.

O pierwszym pobycie Jezusa w Kafarnaum żadnych prawie nie mamy szczegółów. Widocznie w danym razie odwiedził to miejsce dlatego, aby wzmocnić węzły, które Go łączyły z uczniami, aby wcześniej

przygotować przyszłe mieszkanie Swoje. Wszelako bytność Jego pierwsza nie sprawiła w Kafarnaum poruszenia ani rozgłosu.

Bo w tej chwili inny był zamiar Jezusa — myśl miał zwróconą ku Jerozolimie. Tam, w ognisku życia narodowego, w stolicy kraju, w obliczu ludu i starszyny, jawnie uczyni okazanie Swego przyjścia. Bóg, przez jednego z Proroków, oznajmując czasy Mesjasza, mówił:

— „Oto ja posyłam Anioła mego, a nagotuje drogę przed obliczem mojem. A zarazem przyjdzie do Kościoła Swego Panujący, którego wy szukacie, i Anioł Przymierza, którego wy chcecie. Oto idzie, mówi Pan Zastępów, a kto będzie mógł myślą ogarnąć dzień przyjścia Jego? a kto się ostoi na widzeniu Jego? Bo On, jako ogień zlewający“.

Jan Chrzciciel zgotował drogi, Panujący, Jezus Chrystus, może się ukazać. Sposobność ku temu sama się nastroczała: zbliżał się dzień Paschy tego roku dwudziestego ósmego. Wszędy, po całej Galilei, pielgrzymi do miasta świętego się wybierali. Jezus do Jerozolimy wybrał się drogą doliny Jordanowej, a z Nim poszli uczniowie Jego.

Z okazji pierwszej bytności Jezusa w Kafarnaum, Veuillot nadmienia:

Było to miasteczko, położone na granicy dwóch pokoleń: Zabulona i Neftalego, w tem miejscu, gdzie Jordan wody swoje wlewa do jeziora Genezaret. Część ta Galilei nazywała się Galileą pogańską, gdyż Galilejczycy pozwalali poganom mieszkać między sobą, wskutek czego sami tak upadli duchowo, że Żydzi prawowierni uważali ich za nieczystych. W Piśmie S-tem czytamy: „Ziemia Zabulon i ziemia Neftalim, droga morska, za Jordanem Galilea poganów. Lud, który siedział w ciemności, ujrzał Światłość wielką i siedzącym w krainie cienia śmierci weszła im Światłość.“ Jezus był tem Światłem, przyszedł w ten cień. Mówił On: „Spełnił się czas, przybliżyło się Królestwo Niebieskie, czyńcie pokutę i wierzcie Ewangelii.“

Ojciec Prokop, na zasadzie wiadomości, dostarczonych przez Ojców Kościoła, obszerniej opowiada o bytności Jezusa w Kafarnaum. Utrzymuje przytem, że Jezus z Kany udał się z Maryą naprzód do Nazaretu, w towarzystwie oraz: Piotra, Andrzeja, Filipa, Szymona, Judy, obydwóch Jakubów i Jana. Tym ostatnim najbardziej się cieszyła Marya, jako synem blizkiej krewnej. Jan też, ze wszystkich uczniów Jezusa, okazywał Maryi najwięcej przywiązania.

Podczas onej podróży z Kany do Nazaretu — czytamy u O. Prokopa — Jezus zawiadomił Matkę, że ponieważ ma już rozpocząć działalność zbawczą, apostołską, zamierza przenieść się do Kafarnaum, miasta ludnego. Piotr, który miał w Kafarnaum dom wcale obszerny, uprosił Jezusa, aby w nim zamieszkał. W Nazarecie Jezus zabawił dzień

tylko, przeto Marya zajęła się naprzód skromnem ugoszczeniem uczniów Jezusa, a potem zebrała ubogie sprzęty i przygotowała wszystko do przeniesienia na nową siedzibę. Pomagała Jej w tej pracy Marya Salome, która postanowiła już nie opuszczać Matki Chrystusa. Uczniowie Jezusa jeszcze wtedy wrócili do swoich zajęć zwykłych, tylko Jan pozostał już w Nazarecie, aby również, jak matka jego, Marya Salome, pomagać Maryi Chrystusowej w trudach przeprowadzki. Piotr wcześniej opuścił Nazaret, pragnął bowiem przygotować w domu swoim mieszkanie dla Jezusa i Maryi.

Nazajutrz Jan objuczył osła rzeczami Przenajświętszej Rodziny i podążył z Maryą Salome do Kafarnaum. Jezus z Maryą nieco później mieli puścić się w drogę. Marya, zostawszy z Synem, obeszła wszystkie zakątki Swego ulubionego domku. Kosztowało Ją też niemało rozstanie się z miejscem, pełnem dla Niej wspomnień najmielszych i najświętszych. Tu przecież, zaraz po opuszczeniu świątyni jerozolimskiej, przed połączeniem się jeszcze z Józefem, żyła w zupełnej samotności, z Bogiem tylko i Aniołami obcując. Tu z Józefem, najtroskliwszym opiekunem, przeżyła lat z górą dwadzieścia. Tu pielęgnowała od kolebki Jezusa. Tu z Jezusem, już dorosłym przebyła czasu niemało. Tu bez przerwy niemal cieszyła się Jego obecnością, napawała się Jego widokiem. Tu była jeszcze o Niego spokojna, bo ukryty przed światem, jeszcze nie był wystawiony na pociski złości i zawiści ludzkiej, na prześladowania, oszczerstwa, wszelkiego rodzaju udręczenia, jakie Mu później zadawano. Opuszczając to miejsce, wiedziała, że dla Jezusa rozpoczną się najcięższe chwile; że również dla Niej zacznie się spełniać przepowiednia Symeona o mieczu, który przeszyć ma Jej serce macierzyńskie. Cóżby dała za to, żeby mogła pobyt z Jezusem w Nazarecie przedłużyć, odłożyć, o ile można, rozpoczęcie Jego posłannictwa, które miało na Niego ściągnąć tyle cierpień, a w końcu straszliwą śmierć męczeńską. Lecz jak zawsze, tak i teraz, poddawała się woli Boga i z tem poddaniem się, chociaż nie bez łez, opuściła Nazaret, podążając do Kafarnaum.

Wówczas doznawała w sercu uczucia, jak przed laty trzydziestu, kiedy z Dzieciątkiem szła z Betlehemu do Jerozolimy, aby Nowonarodzonego zaoferować w świątyni Bogu-Ojcu. Wówczas jednak to, co Jej Dzieciątko miało spotkać, było jeszcze bardzo odległe; teraz zaś Syn Jej najmilejszy już rozpoczynał posłannictwo, które Go miało na Golgotę zaprowadzić. Szła tedy Marya z Jezusem, jak Abraham z Izaakiem, gdy tego jedynaka swego wiódł on, aby go poświęcić Bogu na rozpalonym stosie, ułożonym z drzewa, które sam Izaak dźwigał. Lecz tu drzewem, którego płomień spali ofiarę z Syna Boga samego, była

miłość Jezusa dla ludzi, a mieczem boleści, który przeszywał już wtedy serce Maryi, była Jej miłość dla Jezusa.

Oprócz tego zachodziła jeszcze inna okoliczność, która zamieszkanie w Kafarnaum czyniła Maryi niemiłym. Kafarnaum było miastem ludnym i zamożnym. Handel tam znajdował się w stanie kwitnącym, mieszkańcy opływali w dostatki, byli zamiłowani w zbytku, w uciechach światowych. Takie życie prowadzi do grzechu, do zepsucia obyczajów, to też mieszkańcy Kafarnaum brnęli w odmętach grzechu. Kafarnaum przytem miało się okazać niewdzięcznym względem Jezusa. Chociaż On je za siedzibę obrał i tu najwięcej cudów dokonał, mimo to rzekł o niem później:

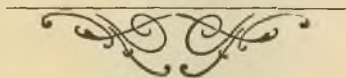
— „I ty, Kafarnaum, aż do nieba wyniesione, aż do piekła będziesz pogażone.“

To znaczy: wielka liczba mieszkańców twoich będzie potępiona, wskutek ich złości, ich grzechów.

Przeto zamieszkanie w takiej miejscowości, wśród ludzi, którzy czarną niewdzięcznością mieli się odpłacić Jezusowi, nie mogło być miłym dla Maryi, która cudownie przewidywała wszystko. Aliści Najświętsza była też Najpokorniejszą, więc bez przeczenia całą istotność Swoją Bogu oddawała.

W Kafarnaum Jezus z Maryą, skłaniając się do prośb Piotra, zamieszkali w jego domu, położonym nad jeziorem, Jezus przecież, jak nadmieniliśmy, nie zatrzymał się długo w tem mieście, lecz podążył z uczniami na obchód Paschy do Jerozolimy.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

„Stwórca uczynił różne jestestwa, ale kiedy zamierzył stworzyć człowieka na obraz i podobieństwo Swoje, — człowieka, którego uważać możemy za figurę Chrystusa — składa naradę i rzekł: Uczynimy człowieka! Z tymże jakby namysłem stworzył niewiastę: Nie dobrze być człowiekowi samemu, uczynimy mu pomoc jemu podobną“. ¹⁾ Słowa te, literalnie wzięte, odnoszą się do Ewy, w znaczeniu duchowem mogą być zastosowane do Najświętszej Panny Matki Bożej, a także przez Maryę odnoszą się do Kościoła.

Oto w jakim znaczeniu bierzemy tekst Księgi Rodzaju: uczynimy mu pomocnicę. — Bóg jest Ojcem rzeczy stworzonych — a Marya matką rzeczy odnowionych. Bóg, który wszystko z niczego uczynił, nie chciał nic naprawiać bez Maryi. Bóg uczynił wszystko co jest, Marya zrodziła Boga samego, — a jako rodzicielka Syna Boga — nazywa się Oblubienicą Pańską.

Ale nietylko jest Bogarodzica — przez Boga i w Bogu porodziła dzieci Boże, które codziennie powtarzają: „Ojciec nasz, któryś jest w niebieszech. A te dzieci — Syna Maryi nie wahają się nazywać swym bratem; — ponieważ Pan Jezus jest naszym bratem, więc Marya jest naszą Matką“. ²⁾

¹⁾ Isai 66, 9.

²⁾ Ps. 21, 22. Math. 18, 10.

Zakończymy te uwagi o duchowem macierzyństwie Najświętszej Maryi Panny doskonałym wykładem nauki, podanym przez Leona XIII, kiedy objaśnia i zachęca do pobożnej praktyki Różańca Ś-go.

„Pomoc, jaką wypraszamy przez modlitwy nasze do Maryi, funduje się na udzielonym Jej przywileju zjednywania łask Bożych — funkcję tę, udzieloną sobie z uwagi na dostojęństwo i położone zasługi Najświętszej Panny, stale spełnia przed Bogiem, a wstawiennictwo Jej przewyższa przyczynę wszystkich wybranych.

Żadna inna modlitwa nie uwydatnia tak wyraźnie tego przywileju, co Różaniec, ponieważ w nim mamy prawie przed oczyma wszystko, — w czem Najświętsza Marya Panna uczestniczyła. Stopniowe rozważanie tajemnic i powtarzanie tychże modlitw wielce do ożywienia naszej pobożności dopomaga.

Oto radosne tajemnice. Jednorodzony Syn Boga zstępuje na ziemię, — ale dzieje się to za zgodą Maryi, która Go poczęła za sprawą Ducha Ś-go. Potem Jan, za szczególnym też przywilejem w żywocie matki poświęcony — w chwili nawiedzenia Elżbiety przez jej krewną Maryę Pannę powołany zostaje do przygotowania drogi pańskiej.

Nadszedł czas, z Maryi Panny rodzi się Zbawiciel, a gdy pasterze i królowie z pokłonem przychodzą, znajdują Maryę z Dzieciątkiem. I znowu, kiedy to Dzieciątko ma się ukazać w kościele, aby się poddać przepisom Zakonu i ofiarować się Ojcu przedwiecznemu — spełnia to przy pomocy Maryi. Po straceniu z oczów Jezusa, Marya szuka Go trwożliwa i odnajduje ku wielkiej swej radości. Cóż nam mówią tajemnice bolesne, przecież to cała męka Zbawiciela. Wprawdzie w ogrodzie Gethsemani, gdzie Pan Jezus krwawił: potem się zlewał i smucił, ani w pałacu Pretora, gdzie został ubiczowany i cierniem ukoronowany nie widzimy towarzyszącej Mu Maryi, ale była ona oddawna świadomą wszystkich udręczeń, jakie czekały Jej Syna. Odkąd bowiem powiedziała „Otom ja służebnica Pańska”, od chwili, w której ofiarowała Syna swojemu w kościele, stała się współniczką Syna w tej pracowniej ekspijacyjnej sprawie. Niema żadnej wątpliwości, że jako Ta, która nosiła Pana Jezusa w łonie swoim i którego karmiła mlekiem piersi swej — podzielała z nim wszystkie smutki, udręczenia i mękę całą.

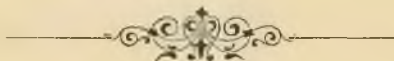
Co najwięcej wzrusza i przejmuje, to widok Matki Bolesnej, stojącej pod krzyżem, tej matki, której miłość i nas obejmowała. Sama ofiarowała Syna swojego, aby nas na dzieci swoje pozyskać, umierając z Jezusem, przenikniona mieczem boleści.¹⁾

¹⁾ Encyc. Jucunda semper 9 sept. 1894.

Co zaś tekst papieskiego pisma mówi o tajemnicach chwalebnych, będziemy mieli później sposobność przytoczyć, niepodobna przecież inaczej tego ustępu zakończyć, jak powtórzeniem słów Wielkiego Papieża Leona XIII: „Najświętsza Panna, Matka Jezusa Chrystusa — jest także matką chrześcijan, gdyż wszystkich na górze Kalwaryi zrodziła — w onej dobie, kiedy Jej Syn, nasz Odkupiciel Jezus Chrystus jest jakoby pierworodnym pomiędzy tymi chrześcijanami, którzy przez adoptacye i odkupienie stali się jego braćmi“. ¹⁾

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



¹⁾ Encyc. Quamquam pluries — de implorando auxilio B. Joseph 15 aug. 1889.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,
KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE
przez
CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Noc w klasztorze zeszła na czuwaniu niespokojnem, wszyscy stali na murach w oczekiwaniu. Wiedziano o śmierci siostrzana Millera, i o tem, że stary jenerał zaklął się, iż teraz twierdzą bez miłosierdzia zniszczy. Groźby te przerażać poczynąły, sen uciekał z powiek. Latarenie słabo świeciły wśród mgły, ludzie, jak cienie, snuli się dokoła, powtarzając z cicha hasło:

— W Bogu nadzieja! Niech Bóg będzie pochwalony!

Wodzowie z różańcem w dłoni, szepcąc pacierze, spodziewali się nocnej napaści, ale daremnie — Szwed o niej ani myślał.

Dzień zawitał nierychło i znów, jak wczoraj, gęstą mgłą osnuty — ani nieba, ani ziemi wyraźnie widać nie było. Tuman, niby dym gęsty, wszystko oprzął, zwiększając trwogę, bo tajemniczość zawsze więcej przeraża. Kordecki przyszedł do chóru na Jutrznię zasepiony, a po skończonych modłach, rzekł do Ojców:

— Bracia! nieczyste są serca nasze, nie gorące modlitwy! Bóg odwraca się od nas, módlmy się lepiej.. Snać osłabła w nas wiara. Mgły stały się sprzymierzeńcem nieprzyjaciela, w nich zamknęci jesteśmy, jak ślepi. Biada nam, jeśli to dłużej potrwa. Nie pomoże na to moc ludzka, gdzieindziej trza szukać pomocy. Jozuego modlitwy dzień wstrzymały — czemużby modlitwy nasze nie miały mgły rozproszyc?

Na twarzach Ojców zwątpienie się wyraziło i podziw wielki, a to widząc Kordecki, zawołał:

— W górę serca! Wiary! Wiary! Wiary! a ruszymy nią opoki! Wiary, a zwyciężym! Ona jest orężem nieprzełamanym, zbroją nieskruszoną. Nie możemy wszyscy trwać na modlitwie, bo musimy walczyć, przeto niech jeden z nas zastąpi wszystkich gorącą, nieustanną modlitwą do Boga, niech zakłębim i słowy błogosławieństwa rozpędza mgły szkodliwe, niech błogosławi działa i orężę nasze, niech za nas błaga i jęczy. Ojcie Stawiski — wam powierzam to dzieło. Wzniescie się duchem przed tron Wszechmocnego, módlcie się za nas, a my pójdziemy pracować.

Ojciec Stawiski, blady, poważny, sędziwy starzec, zniżył głowę, w milczeniu przyjął rozkaz przeora — insi Ojcowie tylko westchnęli. Kordecki, wyznaczwszy przeciwko mgłom bojownika, jak gdyby do najprostszej pracy, udał się na mury i usłyszał, jak pan Piotr Czarniecki, wskazując Zamoyskiemu z mglistych mroków wysuwającą się dziwną jakąś budowę, która powoli do murów się zbliżała, pytał go:

— A to co znowu za lichy? Widzisz waszmość?

— To się zowie w języku wojennym... — począł tłumaczyć Zamoyski.

Ale pan Piotr mu przerwał:

— Mniejsza jak się zowie! Pytam, do czego służy? Przecież nie do wybijania masła?

— Do rozbijania murów i wdzierania się na nie.

— Tak? Ano, to walmyż do onego rusztowania! Kasprze-jagodo, rychtuj harmatę na one kozły, czy też jak tam się to zowie, a gracko ode mnie zarobisz.

Puszkarz wyrzucił działą, wypalił, a tak skutecznie, że ogromny taran, który wlekli żołnierze i lud okoliczny z końmi i wołami razem, począł trzaskać. Za drugim, trzecim strzałem potwór drewniany został zmiażdżony na drzazgi.

Czarniecki aż uściskał puszkarza, wydobył coś pięć dukatów i dając mu one, rzekł:

— Otoś zuch! Otoś chwat! Otoś mistrz! A teraz wal do Szweda...

Gęstymi strzałami pluto do reszty potrzaskanej maszyny, około której zgromadzili się Szwedzi z wrzaskiem i przekleństwem. Usiłowali dźwignąć, co było zepsute i spoić na nowo, ale okazało się, że kule klasztorne najważniejsze części taranu—drugi, haki, kłocze zębate, szruby, sznury, zgniotyły i zniszczyły. Części maszyny, rozpadając się, zgniotyły i pokaleczyły sporo ludzi. Więc Szwedzi znów zaczęli szeptać:

— Czary!

Dano znać o tym wypadku Millerowi, ale on tylko ręką machnął, mruknąwszy:

— Róbcie, co chcecie?

Dnia następnego Szwed ostrzeliwał twierdzą od wschodu. Z tej strony istotnie obawiać się można było wielkich szkód, jeśli nie dla klasztoru, to dla kościoła, którego okna i facyata znajdowały się w tym kierunku.

Szturmy ustawiczne, niepokój ciągły, wrzawa, strachy co chwila nowe, mimo usilnych starań Kordeckiego, musiały zatrwożyć najwytrwalszych. To też twarze większości załogi spochmurniały, a zakonnicy, niezwykłym trybem życia wyczerpani, zwiesili głowy na piersi. Wprawdzie nikt się jeszcze do upadku ducha nie przyznawał, lecz wszyscy czytali sobie w oczach przynębienie. Dotychczas klasztor zwyciężał, ale go zwycięstwo wycieńczało. Kordecki widział to. Krzepił się nadzieją odsieczy, nadzieją surowej zimy, nadzieją znużenia Szwedów — wszystko go zawiodło. Zwątpienie, rozpacz milcząca, blada, przemawiała teraz do niego z oblicza obrońców Jasnej-Góry. Szlachta znów się gromadziła i naradzała potajemnie, załoga szemrała, serca chłody.

Na szczęście modlitwy zwycięsko mgłę rozbiły. Zdało się, że dłoń niewidzialna porozszarpywała grube osłony tumanów i pozzrzucała je na krańce widnokregu, wydobywając z po za nich błękit niebieski i jasne słońce. Kordecki znów zapisał w „Pamiętniku“:

„Przez kilka dni i nocy roztaczały się mgły (zapewne dzieło złego ducha — o czem ze skutku wnosić można), które swą gęstością i duszącymi wyziewami tak dalece nam przeszkadzały, iż ogromnych machin wojennych, kiedy one ku obydwom północnym basztom zataczano, ani kosztów, które tamże znoszono, nie można było dojrzeć. Aż dopiero mgły te stosownemi modlitwy i żegnaniami rozproszono.

Dlatego polecono jednemu z Ojców, żeby przeciwko gustom nieprzyjacielskim wzywał potęgi Boskiej, powietrze zaciemnione egzorcyzmami oczyszczał i broni obłożonych błogosławił, co tak dalece było skutecznem, iż usunąwszy zabiegi czarodziejskie i wszelkie gusa, ciemności z powietrza ustąpiły, strzały padały znów celnie, a nieprzyjaciel ginął, chociaż był niegodziwą pomocą szatana uzbrojony. Z tego powodu mówiono w obozie szwedzkim:

— Częstochowskie mnichy są wielkimi czarownikami, zabijają bowiem naszych najdzielniejszych mężów, którym nic nie pomagają ugody z czartami. Otóż sławnego naszego towarzysza (zabito go w pierwszej wycieczce naszej), mającego siedmiu szatanów przy sobie, który z trzydziestu potyczek wyszedł zwycięsko, włosa nie straciwszy, zabił

z wielkiem dla nas wszystkich zdumieniem, i nie mu nie pomogły jego czartowskie sztuki, które go kiedyindziej ocalały.

Stąd też łatwo wytłumaczyć sobie można, dlaczego przy oblężeniu Jasnej-Góry słyszeć się dało, że u Szwedów więcej padło starszyny niż prostych żołnierzy. Tamci bowiem, ufni w swoje szataństwa, śmiało rzucali się na niebezpieczeństwa i dlatego ginęli; ci zaś, nie znając czarów, bardziej się strzegli i łatwiej życie ocalali.“

Gdy się mgły rozwiały, spostrzeżono pod twierdzą gromady w dniach ostatnich poległych Szwedów. Niektórych śnieg już przysypał. Około tych ciał martwych krzatali się żywi, to odzierając je z sukien, to zabierając na wozy. Chciano tym poległym cześć oddać ostatnią, pogrześć ich w Krzepicach. Wkrótce też ruszyły wozy z honorami wojskowemi, z muzyką i spuszcznemi sztandarami, z oddziałem jazdy niewielkim.

Kordecki, patrząc na to, zapłakał:

— Miły Boże! tyle krwi, tyle ofiar! — rzekł do stojącego obok Ojca Stradomskiego. — Wszystko to dla sławy, dla próżnego liścia lauru! A gdy przyjdzie na wiekuistego państwa pracować zdobycie, jak to każdemu ciężko... Najechali ziemię naszą i wywojowali sobie groby. Niech im Bóg przebaczy! Niech nie pamięta!

Opuściwszy mury, szedł ku klasztorowi, a po drodze spotkał gromadę szlachty i zakonników. W tej gromadzie dwie postacie go uderzyły. Byli to przed chwilą wpuszczeni do warowni panowie Jaroszewski i Ciesielski; pierwszy miał na Jasnej-Górze małżonkę i synaczka—drugi dwie siostry zakonnice, reguły Panien Dominikanek. Obydwaj dali ucho fałszywym podszeptom, jakoby klasztor lada dzień mieli zająć i zburzyć Szwedzi. Wieści te przeraziły ich. Zaniepokojeni o los swoich, udali się do Millera z prośbą, aby im wolno było uprowadzić ich z warowni i tym sposobem uchronić od zniewagi rozbestwionych zwycięzców. Miller z góry im powiedział:

— Mniemam, że mnichy częstochowscy, jako ludzie rycerscy, dość mają przeczności, więc nikomu pewnie z klasztoru wyjść nie pozwolą. Probuście jednak mości panowie szczęścia, idźcie się przekonać o ich usposobieniu.

— Więc generał sądzi, że zakonnicy rodzonych nam nie wydadzą?

— A myślę. Zważcie, że wydanie przeraziłoby załogę i tak już wystraszoną. Powtarzam: probujcie, wszelako na skutek domagań waszych nie rachujcie. Kordecki, przekonałem się o tem, ma głowę nie od parady.

Przybyli tedy do twierdzy rzeczeni szlachcice, a skoro jeno znaleźli się za furta, zaraz popłoch wzniecili, takie rozsiewając duby o potęgę szwedzkiej, że nawet odważnych zachwiali. Prawili mianowicie, że

twierdza żadną miarą się nie ostoi; że Szwed ją kto wie czy nie jutro zdobędzie, a zdobywszy, nikogo nie oszczędzi, nawet kobiety, starców i dzieci wymorduje. Właśnie owe duby rozpowiadali, gdy stanął przed nimi przeor.

— Ojcie przeorze — zawołał Jaroszewski — przyjechałem po jejmość i synaczka...

— Ja zaś po siostry — dodał z drugiej strony Ciesielski.

— Oho! — uśmiechnął się przeor. — A cóż się takiego stało, że gwałtem wywozić je chcecie? Czy im co pod opieką Matki Bożej grozi?

— Juści, że grozi, bo warownia zostanie zdobyta i zburzona...

— Skądże tak pewna wiadomość?

— Ano...—Jaroszewski się zająknął—toć Szwedów ćma, a w klasztorze siła mizerna.

— Lada co waćpan prawisz — ramionami wzruszył Kordecki. — My się tu onej ćmy szwedzkiej nie boimy i kwita.

— W każdym razie — upierali się strachajłowie — prosimy o wydanie naszych rodzonych.

Na to przeor stanowczo:

— Waćpanów nie zatrzymuję, goście jesteście przygodni; ale kto przed obłężeniem się tu schronił, musi z nami dotrwać do końca.

Tamci poczęli się burzyć:

— Jakto może być? To gwałt! To bezprawie! Książd przeor podwładnymi swoimi możesz rozporządzać, ale nie naszymi żonami i siostrami...

— Dziwno mi — odparł przeor — że waćpanowie nie miarkujecie, iż przyzwalając na wasze żądanie (szczerze mówiąc — nierozsądne, bo klasztorowi nic ostatecznie jeszcze nie grozi), przeniewierzyłbym się obowiązkom kapłana i Polaka. Za waszym przykładem poszliby inni, trwoga ogarnęłaby wszystkich. Zresztą, co tu długo gadać: wozdem tu jestem dziś, komendantem. Jeśli co czynię, to z mocnego przekonania i z natchnienia Bożego. Nikomu włos z głowy nie spadnie, jeśli nie przestaniemy ufać Bogu i Maryi. Dla waćpanów droga otwarta, ale jejmość pani Jaroszevska i siostry pana Ciesielskiego zostaną z nami do końca, jak powiedziałem.

Radzi nie radzi z kwitkiem odeszli z klasztoru strachajły, a gdy powtórzyli Millerowi, co ich spotkało, ten rzekł:

— Czyliżem nie mówił, że mnichy, przy swojej odwadze, na wasze żądania wcale się nie zgodzą? Zaiste, uważałbym ich za nierozsądnych, gdyby w obecnem swoim położeniu waszym życzeniom zadość uczynili.

Wszelako niewczesna troskliwość Jaroszewskiego i Ciesielskiego o swoich krewniaków, oraz rozpuszczone przez nich bezmyślne duby,

zatrwożyły załogę niepomahu. Nawet niektórzy z zakonników, zostając w ciągłej obawie, znużeni ustawicznymi trudami, zaczęli przebąkiwać o poddaniu się. Ci mówili:

— Najwyższy Sędzia wszech rzeczy, w którego mocy jest gubić, albo w inne ręce oddawać władzę nad królestwami, oddał także sprawiedliwym wyrokiem Rzeczpospolitą pod moc Szwedów. My jedni uporczywie przy postanowieniu trwamy, chociaż nie jesteśmy w możności z potęgą szwedzką się mierzyć. Winniśmy jednak zgodzić się z losem i uleść prześladowcom, nie zaś okropne prowadzić boje, tembardziej, że sam nieprzyjaciół zapewnia nam obronę wiary i dozwala swobodnie wykonywać obrzędy naszego zakonu.

Kordecki, dowiedziawszy się o upadku ducha wśród Ojców, zwołał ich wszystkich do definitarza. Zanim tam przyszli, ukląkł przed wizerunkiem Zbawiciela i długą chwilę modlił się gorąco. Tymczasem wezwani zgromadzili się. Przeor wtedy powstał z klęczek, ucałował rany nóg, rąk i boku Jezusa, poczem tym kształtem przemówił:

— Przeraża nas, nierycerskich ludzi, grożące niebezpieczeństwo, które chociaż niewątpliwie jest straszne, aliści nie do tego stopnia, żeby miało zachwiać naszą stałość w obronie wiary, wizerunku cudownego i kraju. Wszelako ponieważ niektórzy z was sądzą, że dopuszczenie Boskie spadło na Rzeczpospolitą i że dlatego wolno nam jest wszystkie nasze rzeczy święte i nie święte oddać na pastwę kacerzom — zgoda. Ja was sądzić nie będę. Przyznacie jednak, że nie godzi się, aby to miejsce święte pozostało bez starunku o cześć Bożą, o świetność przybytku Pańskiego; aby mu zbywało na dostatecznej liczbie sług do należytego pełnienia obrzędów, stosownie do godności cudownego wizerunku Bogarodzicy. Nie godzi się, aby wszyscy haniebnie opuścili ten ołtarz, jak zbiegi niewierne, którzy wzięli zapłatę wczesną, a w chwili niebezpieczeństwa uszli sromotnie. Skoro więc postanowimy oddać się Szwedom, zechciejcie Ojcowie szczerze wyznać: którzy z was chcą zostać na tem świętem miejscu, aby tu chwała Boża nie ustała? Ja przynajmniej i niektórzy wraz ze mną, mamy stałe postanowienie unikać obcowania z narodem heretyckim, gdyż onego tyrańskim panowaniem wiecznie się brzydzimy. Nie mogąc znieść sromoty naszej, ani patrzeć, jak kacerze będą plugawili ten przybytek, ustąpimy...

Przestał mówić i poglądał na zgromadzonych, odpowiedzi wyczekując. Lecz nikt się nie odzywał — rumieniec wstydu oblał twarze, milczeli wszyscy.

— Wystąpcie i mówcie! — nalegał Kordecki. — Chcieliście podania, ja wam będę posłuszny...

Milczenie wciąż trwało.

Wówczas przeor, widząc, iż poruszył serca, znów podjął z zapalem:

— Rozważcie, bracia, co nas do tego przywodzi, że pragnąc uniknąć spodziewanego okrucieństwa nieprzyjaciół, zamyślamy oddać miejsce święte i nasze mienie w ręce Szwedów? Jasna-Góra znana jest światu z łask i cudów, które tu pobożna i szcudrobliva dłoń Boża na wszystkich zlewa; dlatego też jej Szwed, wróg zacięty wiary katolickiej, tak bardzo nienawidzi. Jeżeli przeto mniemamy, iż heretyk będzie się tem miejscem opiekował, czyliż to nie błąd? Czyliż raczej nie wydamy miejsca tego na splugawienie bezbożnym? A przecież do tego zmuszeni jeszcze nie jesteśmy. Przy szczęśliwem bowiem położeniu warowni, możemy naszymi siłami, przy łasce Bożej, i sroższego nieprzyjaciela odeprzeć, i siebie bez trudności ocalić. Jakaż jest nasza wiara, jaka miłość, jaka wdzięczność względem Boga tak szcudrobliwego dla nas, skoro mało znaczący uszczerbek w doczesnych wygodach już nas odwraca od strzeżenia skarbnicy niebieskich darów Wiecznego Króla? Rozważmy ściśle, że daleko jest lepiej i roztropniej bronić całości Domu Bożego, wiary świętej, a zarazem własnych naszych swobód, niż z utratą tego wszystkiego iść na wygnanie i wieczną niedolę. Bądźmy przekonani, że niczem nie zadamy większego ciosu sobie samym i wolnościom naszym, jak poddając się, wraz z miejscem świętem, w moc kacerstwem skażonego Szweda. Cóż nam przeszkadza w poświęceniu się nadal dla Boga i Maryi Przenajświętszej? Nie zbywa nam na przyrzędach do obrony, w żywność jesteśmy dostatecznie zaopatrzeni, a wytrwałość i zapal nieustraszonego żołnierza rokują nadzieję zwycięstwa. Posiłków każe nam się spodziewać niezachwiana cześć i przywiązanie ludu do tego miejsca; wreszcie ożywia nas wiele słusznych nadziei, które, choćby nas zawiodły, przecież nie pozwalają nam nie ufać Bogu, którego sprawie służymy. Przybędzie On, wspomóże nasze usiłowania, byleśmy tylko na duchu nie upadli i trudy, jakie nas czekają, czci Jego poświęcili! Opamiętajcie się, bracia, uczcie się z chwilowej bojaźni, jak łatwo upaść, jak trzeba czuwać nad sobą! Czemże dzisiaj jest straszniejsze od wczoraj? Tyle napaści wytrzymaliśmy, nie nie okazał nieprzyjaciół, więc chyba lękamy się zwycięstwa naszego? Posiłki nam przyjdą, powtarzam, bo cała Rzeczpospolita obudziła się ze zgrozą ze snu i odrętwienia... Nie słuchajmy podszeptów ludzi tchórzliwego serca, bądźmy wyżsi nad strach ziemski, z nami Bóg przecież i Panienska Najświętsza!

I zaiste łaska Boża pocieszyła strapionych, a wszystkich trwogą ogarnionych lepszą nadzieją ożywiła, bo zaledwie przeor skończył mówić, oddano mu pismo, znalezione na wałach, w którym pan Jan Maj, szlachcic z pod Sandomierza, zawiadamiał, iż królowi Janowi Kazimierzowi nadciągają z pomocą wielkie zastępy Tatarów. Kordecki w głos pismo odczytawszy, rzekł.

— Oto lek skuteczny dla małowiernych.

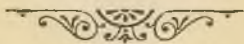
Poczem wyszedł, zostawując zakonników wstydem ogarniętych. Czuli oni, że srodze przewinili, wątpiąc o miłosierdziu Bożem, więc w duchu przyrzekali sobie poprawę, wytrwałość niezłomną, bodajby z ofiarą życia.

Ze szlachtą poszło trudniej—baśni, rozpuszczone nieopatrznie przez Jaroszewskiego i Ciesielskiego głęboko utkwily w umysłach i wywołały szemrania. Lecz pismo pana Maja, a więcej jeszcze sprężysta zabiegliwość pana Czarnieckiego, złe jakoś zażegnała. Pan Piotr, zauważywszy owe szemrania, zwołał załogę, rozdał każdemu po szklance miodu i przemówił prosto z mostu:

— Coś tu u nas śmierdzi zdradą. Bracia szlachta zaczyna tchórzeza puszczać, myśli o poddaniu? Oczywiście, ksiądz przeor słuchać o tem nie chce i my, wodzowie z jego ramienia, też. Owoż uważcie, co powiem. Który z was miałby ochotę wachać się z tchórzami, straci odwagę, bąkać będzie o poddaniu, albo jakie konszachty nieczyste zawiaże, temu — tak mi Boże przy skonaniu dopomóż! — kulę w łeb ręką własną wsadzę. Macie wóz i przewóz. Da Bóg, że się robota ze Szwedem skończy szczęśliwie — nagroda sowita was nie minie; natomiast za tchórzostwo lub zamiary niepocziwe — kulka ode mnie. Znaćcie mnie, żem słowny. Ano, skończyłem. Hajda teraz na mury i prażyć heretyka psiajuchę, ile się zmieści!

Załoga ochoczo na te słowa odkrzyknęła i już do niej tchórze przystępu nie mieli, bo się od nich odwracano.

(D. c. n.)



KSIEGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

R. 1658. Piotra i Zofii, małżonków z Kielczygłowa, córeczka czteroletnia, Regina, schylając się nad stawem, wpadła głową do wody i zalawszy się całą, utonęła. Nierychle potem Mikołaj Ulejski, szlachcic, przechodząc koło stawu, spostrzegł trocha szatek z wody wystających i wyciągnął dziecinę, ale bez duszy. Zawołał rodziców, oddał im dziecko. Wszelkich zażywali środków do odratowania, ale daremnie. Dopiero gdy, z rady Ulejskiego, na Jasną-Górę ją ofiarowali, ożyła.

R. 1694. Wojciecha i Agnieszki Piotrkowskich, z Białej, syn Jan, ośm lat mający, chłopiec krnąbrny i niekarny, zagrożony przez matkę chłostą, wybiegł ciemnym wieczorem z izby, rzucił się do studni i utopił. Nie postrzegli tego domowi, jeno sąsiedzi, stróż i woźnica, słyszeli, że coś plusnęło w studni. Więc spuścili zórawiem wiadro, wołając, aby się topielec ratował. Ponieważ nikt nie odpowiadał, przynieśli światło, oglądają, ale nic nie widzą. Mówią do siebie:

— Chyba to łód się urwał i tak plusnął.

Wszelako przecuciem wiedzeni, udali się do Piotrkowskich, tam opowiadają:

— Zdaje nam się, że ktoś wpadł do studni. Są tu wszyscy wasi w domu?

Służebna zawoła:

— Jaś to wpadł, bo dziś gadał: „abo się nożem przebodę, abo utopię“.

Zatrwożony Piotrkowski bieży do studni, znajduje ciało syna, winduje do góry. Zwłoki raz i drugi spadają znów do wody, dopiero za trzecim razem wydostał je Piotrkowski potłuczone i szerniałe. Desperują rodzice, ale cóż poradzić na śmierć? W ostateczności — uciekli się o pomoc do Paniienki Częstochowskiej. Uczynili to późno, dnia trzeciego, jednak Pani Anielska łaskę im okazała i chłopca wskrzesiła.

R. 1706. Synaczek Agnieszki Filiberowej z Kęt, wpadł wypadkiem do studni i utonął. Wyciągnięto już szerniałe i wzdęte ciało. Matka omdlewa z rozpaczy, naraz myśl jej szczęśliwa przychodzi — ofiarować dziecko na Jasną-Górę. Doznała cudu, dziecko ożyło.

R. 1709. Paniienka Jasnogórska przywraca do życia Pawła Zakowicza z Widawy, lat 16 liczącego, syna Jakuba i Agnieszki małżonków Zakowiczów, który miarkując głębokość studni, wpadł do niej i utonął.

R. 1712. Małgorzata, córeczka Małgorzaty Skuliszewskiej z Kęt, przez swawolę dziecięcą utonęła. Wydobyto ją z wody dopiero po trzech godzinach. Matka widząc, że ziemski ratunek daremny, jęła błagać Maryi o miłosierdzie. Wysłuchiła ją Pani Anielska, dziecko ożyło.

Zagrożonych śmiercią, wskutek ciężkiej niemocy, a odstąpionych przez lekarzy, przywraca do zdrowia Najświętsza Panna: w r. 1650 — Katarzynę Filonowiczową, mieszczkę krakowską; r. 1651 — Wielebnego Ojca Antoniego Ładnęte, Franciszkanina; r. 1652 — córeczkę Stefana Żwanieckiego, miecznika czernichowskiego, urodzoną z małżonki jego Maryanny z Milewskich; r. 1665 — Zofię Mirakowską; r. 1668 — Najwielebniejszą Pannę Zakonną, Jadwigę Prusakównę, ksienię klasztoru w Trzebnicy; r. 1672 — Reginę z Bieńkowic.

R. 1676. Jego Dostojność biskup spigaceński, ksiądz Święcicki (potem biskupem chełmskim został) złożył do akt klasztornych takie zeznanie:

„Pannie Przebłogosławionej, której święty obraz na Jasnej-Górze Częstochowskiej wielkimi całą Polskę ubogaca dotychczas dobrodziejstwa, im więcej ludzi wota swoje pobożnem sercem oddają. Ja, niżej podpisany, w osobie mojej uznana łaskę do jawnych ksiąg podaję:

Z rodziców szlachejnych, Jakuba Święcickiego i Katarzyny z Wąsowskich, roku Pańskiego 1621 dnia 14 sierpnia urodziwszy się, żadnej innej matki pokarmu zażywać nie chciałem, tylko własnej matki mojej. Która gdy każdego roku, w niedzielę drugą po Wielkiejnocy, zwykła nawiedzać święty obraz częstochowski i wielu z sobą prowadząc, żywiła własnym kosztem, długo się biedziła z myślami: czy nabożeństwu, czy też dziecinie dogodzić miała, gdyż pokarmu od innej niewiasty strachało się.

Przemogło nabożeństwo do Najświętszej Panny. Przeto zostawiwszy syna z tą nadzieją, że w niebytności matki własnej, może innej niewiasty pokarmu zażywać, i tak wybrawszy się, poszła pieszo z drugimi, na podziękowanie za potomka, a z prośbą o wychowanie jego. Powraca drugiego tygodnia do domu, aż zabiegłszy jej drogę, dają znać, że synaczek jej kona bo już 14 dni bez pokarmu zostawał. Zatrwożona matka, wpadłszy do domu, ledwie tchnącego syna weźmie na ręce, a uklękawszy przed obrazem Najświętszej Panny Częstochowskiej, w domu zawsze mianym, pocznie wzywać Najświętszą Pannę. Aż zatem umierający przyszedł do siebie i ozdrowiał. Znowu tedy nazad do Częstochowy z tak przywróconem dziecięciem obróciła się na podziękowanie i oddanie go w opiekę Najświętszej Panny, a następnie tem pilniej co rok nawiedzała miejsce święte.

Aleć i nabożnej niewieście tej Najświętsza Panna wielką uczyniła łaskę, kiedy po cztery razy paraliżem nawiedzona, życiem i zdrowiem darowała tak prędko, że po tej afekcyi, drugiego albo trzeciego dnia, o północy modlącą się domowi znajdowali.

Tak zeznaje ja, Stanisław Hyacynt Świecicki, biskup spigaceński, scholastyk gnieźnieński, dziekan inowrocławski, archidyakon i proboszcz Ś-go Jerzego, oficyał warszawski jeneralny.“

R. 1663. Kazimierz Ślawski, z małżonką Agnieszką, z Sandomierskiego, zeznali, „jako taż Agnieszka Ślawska, dnia 24 maja, w nocy z poniedziałku na wtorek, straszidłami maszkar piekielnych, widocznie w oczach jej ukazującemi się przez całą noc, straszona, tak wylękła była, iż w ciężką zdrowia i zmysłów alteracyę wpadła, aże szerniała i umierać już poczęła. Więc skoro dzień zaświtał, wypowiadawszy się, Komunię Ś-tą przyjąwszy i Ostatni Sakrament, śmierci czekała. Małżonek pobożny, który zawsze się uciekał do Najświętszej Panny Częstochowskiej i łask Onej doznawał, i teraz wprost udał się do obrazu świętego o ratunek, umierającą ofiarując. Nadspodziewanie tegoż momentu przyszła do siebie, w jednej godzinie ozdrowiała.“

R. 1687. Piwowar ze Ślawkowa, przy dźwiganiu ciężarów oberwawszy się, zachorował i już na śmierć się dysponował. Podczas gdy nad umierającym ubolewają przyjaciele, żona pobożna ośmieliła się spróbować jeszcze ostatniego środka ratunku i ofiarowała małżonka na Jasną-Górę. W tej samej chwili umierającemu przytomnie mąż sędziwy, w odzianiu świetnem, szaro-zielonem (snać Ś-ty Paweł Pustelnik, założyciel zgromadzenia Ojców Paulinów) ukazuje się i rzecze:

— Chceszli być zdrów, obiecuję i ty drogę na Jasną-Górę.
Uczynił ślub chory i ozdrowiał.

R. 1691. Zacharyasz i Agnieszka małżonkowie Kwiatkowscy, ze stanu szlacheckiego, złożyli na Jasnej-Górze zeznanie, jako Najświętsza Panna darowała zdrowiem ich córeczkę Basię oraz samą Agnieszkę Kwiatkowską.

R. 1699 zapisano w aktach klasztornych zeznanie następujące:

„Ja, Wojciech Karol Mrówczyński, niegodny pleban Urzędowa, pisarz apostolski, ciężką chorobą przez całe dziewięć miesięcy tego roku złożony, naprzód do Sandomierza i Ojców Reformatów na leki zawieszony, potem do Opatowca, naostatek do Lublina u tychże Ojców miałem różnych doktorów, a nie miałem żadnej pomocy od nich, owszem, coraz to gorzej miałem się. Już ani jadałem przez kilka dni, ani ruszyć się z łóżka mogłem, a w ustawicznej gorączce-malignie leżałem. Już i sami doktorowie opuścili mnie bez nadziei życia, dla ciężkich i nieuleczonych alteracyj zdrowia, maligną i innemi niemocami zwątlonego i już prawie zrujnowanego. Ale co najcięższa: jako przedtem, za zdrowia, mieszałem w modlitwach i Mszach Ś-tych przeszkody od złych duchów, tak i podczas tej niemocy mojej, i podczas rekolekcyi dobrej, byłem kilkakroć biczowan od nich. Nadto zachwycony w duchu tak, jakom żyw w sobie, lubo chory, widziałem straszne monstra, bestye, węże i inne, których wypowiedzieć trudno, widowiska. Byłem na jakichś miejscach wesołych, nader ozdobnych i świetnych, gdzie mnie przestrzegano temi słowy:

— Nikomu nie mów nic, bo jeżeli te wesołe widzisz, pójdziesz na inne miejsca, na których w obrotach będziesz.

Przez te zaś miejsca, którychem się obawiał, nie insze rozumiałem, tylko czyścić i piekło. Jakoż widziałem dusze w wielkim ogniu i ciągniono mnie przez miejsca ciemne, sprośne, do wypowiedzenia niepodobne, a wszędzie przestrzegano mnie słowy:

— Nikomu nie mów nic!

W tych wszystkich nagabywaniach szatańskich wzywałem tylko myślą i sercem imienia Najświętszej Panny Maryi, bo z trwogi słówka przemówić nie mogłem. I tylko obrazek Najświętszej Panny Jasnogórskiej, którym miał przy sobie, mocno trzymałem i przyciskałem do siebie. W takich tedy terminach zostając podczas choroby tej, gdy byłem już do żywego niepodobny, prosili Pana Boga i Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej za mnie Ojcowie Reformaci i pokrewni moi. I oto ożyłem, z choroby do zdrowia przyszedłem nad spodziewanie wszystkich, a już za mnie, jako za zmarłego, kapłani świeccy i zakonni Msze Ś-te odprawowali. Tu tedy przyszedłem na Jasną-Górę, z oddaniem czci, chwały, dzięków Najświętszej Pannie, którą w oczach i w sercu mam i mieć chcę póki życia.“

R. 1699. Kapłana - zakonnika zeznanie: „Ja, Brat Wawrzenc Lochman, zakonu Kanoników Regularnych, klasztoru miechowskiego profes, pleban Niechanowa w Wielkiej Polsce, lat 45 mający, oznajmuję, iż z ciężkiej choroby już konałem, już paraftanie moi modlili się za mnie. Wtedy kolator mój, Jaśnie Wielmożny Michał Działyński, chorąży pomorski, ofiarował mnie na Jasną-Górę i zaraz ozdrowiałem.“

R. 1713. Krystyan Zawodni, mieszczanin krakowski, również konający, po ofiarowaniu go przez spowiednika na Jasną-Górę zdrowie odzyskał.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

VII.

Ładysław z Gielniowa.

Nastąpiła krwawa wojna szwedzka. Przed jej wybuchem klasztor Ś-ej Anny tak się przedstawiał, według opisu Jarzemskiego: „Na Krakowskiem Przedmieściu jest obszerny kościół Ojców Bernardynów, własność ich rozciąga się aż po Wisłę. Sami nieboracy robią wszystko — ci w ogrodzie, inni w browarze, inni drzewo karują. W tym kościele jest wiele ołtarzy cudownych świętych, nad grobami senatorów i starostów wiszą proporce. Ambonę ogrodzili tak wysoką kratą, że nie widać kaznodziei, gdy kazać wchodzi. Huczne organy, ogromna dzwonnica. Dzwony biją we dwie oktawy tak ślicznie, jakem nigdzie nie słyszał, lubo bywałem w Warce, w Goszczynie, w Garwolinie a nawet w Czersku.“

Kronika klasztorna uzupełnia ten opis. Z niej dowiadujemy się, że kościół Ś-ej Anny w tym czasie był piękny, miał sklepienie w łuk zarzucone. Na środku kościoła, ze sklepienia, zwieszał się orzeł drewniany złożony, dowód hojności królewskiej dla zakonników. Liczne chorągwie widniały na ścianach, a na nich napisy i portrety bohaterów, których ciała tu złożono. Obok ołtarza wielkiego, wznosił się już ołtarz Ładysława, z jego wizerunkiem, a na nim moc wielka wotów srebrnych. Pomiędzy temi ołtarzami stał grobowiec Ładysława murowany,



**Warszawa: Kościół po-Bernardyński z relikwiami błogosławionego Ładysława z Gielniowa.
(według dawnego obrazu).**

o ścianę chóru zakonnego oparty, na nim także niezmierna moc wotów, złożonych to za zdrowie powrócone, to w hołdzie dla cudownej siły, z jakiej to miejsce słynęło. Naprzeciw ołtarza Ładysława stał ołtarz Ś-go Piotra z Alkantary, z ładnym obrazem. Od niego szły stalle zakonne i ciągnęły się daleko w chór. Kraty żelazne oddzialały te trzy ołtarze od reszty kościoła, w nich oddzielne drzwi do chóru, do wielkiego ołtarza i do grobowca Ładysława. Robił te kraty braciszek Feliks, doskonały kowal. Przed kratami ołtarz Najświętszej Panny, na wzór Częstochowskiej, z Dzieciątkiem na ręku. Do ołtarza tego panowie i pospólstwo wielkie mieli nabożeństwo, cały wotami srebrnymi obwiesili. Fundował ten ołtarz Albrycht Stanisław książę Radziwiłł, kanclerz litewski, pan wielce pobożny. On to sprawił dwie korony złote, w Gdańsku wyrobione, na głowy Jezusa i Bogarodzicy, ozdoby zaś złote na tym ołtarzu, łańcuchy i klejnoty, lud pozawieszał. Prześciczne organy, złożone, w różne kolory malowane, stanowiły fundację wielu dobrodziejów. Był czas, że kościołowi przydawały znaczenia Bernardynki, które naprzód w domu pomiędzy kościołem Ś-ej Anny a bramą Krakowską osiadły, potem przyjęły regułę Ś-ej Klary, wreszcie do zakonu Ś-go Franciszka przyjęte, tutaj chodziły do kościoła, gdzie miały wyznaczone sobie miejsce. Za Zygmunta III zdobyły się na klasztor.

Słowem kościół Ś-tej Anny był wspaniały, mnóstwo w nim znajdowało się świętości, słynął w całym kraju. Wojna szwedzka, za Jana Kazimierza, zamknęła złote czasy dla tego kościoła. Naprzód Rzeczpospolita uszczupliła jego bogactwa, pożyczając od Bernardynów sto grzywien srebra, żeby je przekuć na monetę, czego dowód został w kwiecie, wydanym przez biskupa Tolibowskiego. Zrządzeniem jednak Opatrzności, kiedy inne świątynie warszawskie Szwed tupał, kościół Ś-tej Anny ocalał. Nawet podczas oblężenia kościół ten niewiele ucierpiał, chociaż był na ogień wystawiony. Spłonęło całe przedmieście, pałace i dworki, ale kościół, osmolony i ostrzelany, pozostał i jak urna pogrzebowa świecił nad stosami rozwalisk. Wprawdzie Szwedzi po swojemu w kościele i klasztorze gospodarowali, do ogrodu bernardyńskiego zaciągnęli armaty, z okien strzelali, kościół zmienili na jakiś czas w fortecę, póki ich stamtąd Czarniecki, przeryzując się od Gdańskiej piwnicy przez Podwale, nie wypłoszył, stoczywszy wprzód morderczą bitwę przed samym kościołem: ale zawsze gmach święty oparł się grozie wojennej, stał jakoby na straży miasta, sam jeden wśród pustki.

Czego wszakże nie dokonały szturm i oblężenia, na to się zdobyła nieostrożność dziwna. Było to r. 1657, kiedy Warszawa raz trzeci z kolei oblężona była przez Wołochów i Węgrów Rakoczego. Już zawiązano z nieprzyjacielem układy o poddanie miasta, z zastrzeżeniem mieszkańcom i kościołom wszelkiego bezpieczeństwa, gdy nagle, o ósmej

z rana, naszli kościół Ś-tej Anny zbrojni, przysłani przez władzę miejską, chociaż dobro publiczne nie wymagało już po nikim ofiary. Nie opowiedziawszy się gwardyanowi, co mają robić w kościele, nie ostrzegłszy go, żeby usunął ołtarze i obrazy, natychmiast wykonali rozkaz, z góry dany, a mianowicie: zapalili pochodnie, tłumnie z niemi wpadli do kościoła, zaczęli ciskać je na katedry, konfesyonały, ołtarze, żeby zaś większy rozniecić płomień, obrazy ze ścian pościągali w środek pożaru. Inni pod belki podłożyli ogień... Pęka sklepienie, wali się na podłogę, upadają ściany, gruchoczą się mury, głównie u góry i u dołu błyskają. Zakonnicy wśród tego ognia chodzą, płaczą, błagają, ale nic nie pomagają — najęta tłuszcza spokojnie przygląda się dziełu zniszczenia, pilnuje, dopóki się wszystko nie spali. Wyuzdańsi łupież nawet dzielą pomiędzy siebie; inni, nie przestając na tem zniszczeniu, znoszą z korytarzów obrazy, drzewo dźwigają, w stosy je układają i niecą pożar. Wtedy to spłonęła biblioteka, „jakiej żaden klasztor w Polsce nie miał,” warta przeszło 30 tysięcy złotych, nieustannie pomnażana przez dobrodziejów. W porównaniu z tą stratą, co znaczą te ogromne zapasy żywności, które klasztor z jałmużny przygotował dla siebie, na zapas oszczędzane? Część ich spłonęła, część, z wapnem i cegłą pomieszana, do niczego służyć nie mogła. Niecny postępek tak oburzył wszystkich, że nieprzyjaciel nawet kazał śledzić, czy kto z jego ludzi nie uczestniczył w tej zbrodni, grożąc, że winnego szubienicą ukarze. Dopiero później dowiedziano się, że klęskę spowodowali ojcowie miasta. Zakonnicy stratę ówczesną obliczali na 200 tysięcy złotych, ale to chyba za mało.

Król z wojskiem koronnem stał w Łowiczu, tam go doszły listy prowincyała Bernardynów, domagające się sprawiedliwości. Jan Kazimierz odpisał z ubolewaniem. Prowincyał, znów zwiedziwszy zrujnowany kościół, donosi królowi: „Takiej się wysługi doczekał ubogi konwent po dwustu latach; takiego poszanowania fundacya najjaśniejszych królów polskich i ciał świętych w kościele tamiecznym schronienie; na to zeszyły ołtarze, obrazy świętych. Czego się ręka nieprzyjacielska nie ważyła, to bezbożna swoich rzekoma gorliwość wykonała.” Razy kilka prowincyał pukał do króla i kanclerza koronnego; oprócz tego wojewoda poznański, Jan Leszczyński, jako syndyk prowincyi, zaniósł protest do grodu, a w skardze swojej wymienił osoby, które myśl zbrodniczą podały, które namawiały, paliły i rozkazywały palić. Zdaje się jednak, że bezkarnie puszczono tę zbrodnię.

W r. 1660 wrócili zakonnicy do zgłiszcz warszawskich z innych klasztorów, naprzd dom sobie mieszkalny wystawili, a roku następnego zaczęli ze składek budować kościół. Największą pomoc niósł im w tej sprawie Jan Wielopolski, kasztelan wojnicki, przez nabożeństwo

dla Ładysława z Gielniowa. Wziął on wprawdzie od gwardyana, Zygmunta Janowskiego, ostatki sreber kościelnych (ważyły 6 funtów) i złota wartości dukatów 168, ale to wszystko było połamane, w okrucach, jak po pogorzeli. Zakonnicy zbierali wszystko, wota i blaszki z pod zgłiszcz wydobywali, żeby jaki taki znaleźć fundusz na odbudowę, ale o czym mogli myśleć z taką łataniną? Wielopolski tedy zabrał te okrucy, natomiast zapewnił klasztorowi stały fundusz na odbudowę, miał mu bowiem dawać corocznie przez czas jakiś po 5 tysięcy złotych. Zakonnicy oprócz tego usilnie się krzatali. Cyprian Górski, prefekt fabryki (to jest — kierownik odbudowy) i Bonawentura z Mławy, obrany gwardyanem, zbierali ofiary tak skutecznie, że w lat siedm nowy kościół stanął. Odbudowa, zaczęta w r. 1663, szybko postępowała. Już podczas ustąpienia Jana Kazimierza ogromnie się posunęła, a dwa lata następne są pod tym względem najważniejsze. Na cześć Wielopolskiego, na sklepieniu i po ścianach, z gipsu i z innych materyałów, poprzyczepiano ozdoby, ale gdy ktoś zwrócił uwagę, że sklepienie wielkiego ciężaru nie wytrzyma, więc ozdoby te usunięto, podstawy nowe pod kościół założono głębiej i szerzej. Wielopolski umarł w r. 1668 i w przedśionku kościoła pochowany został bez żadnej wystawności; napis tylko: „módlcie się za grzesznika,“ oznacza miejsce jego wiecznego spoczynku. Ze śmiercią jednak Wielopolskiego nie ustały dobrodziejstwa, bo dzieci jegołożyły wciąż na budowę. Ogółem na ten cel ofiarowali 15 tysięcy 440 złotych.

Lecz Wielopolscyłożyli na ogólną odbudowę, o szczegółach zaś pamiętali inni. Więc kaplicę Ładysława odnowiła rodzina Kretkowskich, którzy Kryskich dziedzicami byli. Znacznie później biskup chełmiński, Feliks Ignacy Kretkowski, regularnie dzień Patrona tego Mszą Śtą w kaplicy tutejszej obchodził, przy ciałach przodków; nigdy, nawet będąc już ośmdziesięcioletnim starcem, zwyczaju tego nie zaniechał. Ołtarz Ś-tej Anny odnowiło Bractwo. Jędrzej Trębosz, odźwierny królewski, dom na Przedmieściu Krakowskim, Zielazowskim zwany, zapisał na ołtarz Ś-tej Anny. Ołtarz wielki niewiadomo kto odnowił. Zamierzono nadto wystawić wspaniałą facyatę kościoła. Jakiś nieznaný dobrodziej sprowadził w tym celu do Warszawy z łomów krakowskich płyty wielkie czarnego marmuru; wyrobione postumenta i kolumny czekały tylko czasu, żeby niemi wprawna ręka przyozdobiła świątynię. Kronikarz zakonu, ksiądz Kamieński, oglądał to wszystka dzieckiem jeszcze, w r. 1696; w lat kilkanaście potem jeszcze po korytarzach leżały owe marmury, zepsute i zniszczone, większe ktoś pozabierał. Kościół facyaty się nie doczekał.

O organach pomyślano na końcu. Dopiero więc za Augusta II stanął chór murowany, po nad wejściem kościoła, a na nim organy.

Zaczął je stawiać Ojciec Antoni z Głogowy, przy pomocy Braciszka Klemensa z Sierpska; ale gdy gwardyan, który to dzieło popierał, umarł, a po nim i organmistrz życie zakończył, wziął się do tej pracy i ukończył ją ksiądz Żelewski. Budownicza część i rzeźbiarska należały do Braciszka Kleina. W tym czasie również, w r. 1701, stanęły w ogrodzie łaźienki.

Podrósł też w tym czasie zakład naukowy Bernardynów warszawskich, bo na Kapitulę zakonu w Hiszpanii wyniesiono go na stopień pierwszej klasy, czego warszawskim zazdrościli Bernardyni poznańscy, którzy się o ten zaszczyt daremnie starali. Nowicyat ten błakał się r. 1667, z powodu zarazy, po różnych klasztorach, wreszcie do Warszawy powrócił. Zdarzały mu się i później takie wędrówki, bo zaraza często się srożyła. Najczęściej przyjeżdżał do Skępego, Ostrołęki, Wartemburga w Prusiech i Gniewu, mianowicie w czasie drugiej wojny szwedzkiej. Wtedy to, w r. 1678, obalono przewagę gwardyanów poznańskich i warszawskich, którzy przed wszystkimi gwardyanami miejsce brać chcieli.

Za czasów króla Sobieskiego, klasztor, przyszedłszy do siebie, znów się starać zaczął o kanonizację Ładysława. Rzym na Kapitułę jeneralną, która się odbyła w Warszawie w r. 1678, udzielił zupełnego odpustu. Po odbytych wyborach, starszyzna o kaplicy Ładysława radziła. Popierał tę sprawę Kapistran Jankowski, były prowincyał. Postanowiono kaplicę odnowić, pokryć ją dachówką, następnie w ołtarzu umieszczono nowy wizerunek Ładysława, malowany przez artystę Włocha, a zapłacony przez Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego. Król sprzyjał Bernardynom warszawskim. Z księdzem Stanisławem Orłowskim, który dwa razy był tu gwardyanem, żył nawet w bliższych stosunkach. Rozkoszował się król „miłem śpiewaniem“ zakonników. Często stawał w oknie zamku od strony kościoła, a gdy nocne Wigilie lub „Te Deum“ pośród modlitw porannych usłyszał, sam też nucił za Ojcami.

Już to król Jan był bardzo pobożny. Jak z Bernardynami pieśń, tak u Ś-go Jana na Wotywie o Najświętszej Pannie, którą to Wotywę zwano „Literacką“ i którą mieszczanie śpiewali, zawsze, siedząc na tronie, głos swój z głosem ludu łączył. Kiedy umarł, z samych jałmużn, które Bernardyni otrzymali od Sobieskich za same Wigilie i Msze, odprowadzane przy zwłokach, gwardyan Rafał Fiołkowicz pokrył klasztor dachówką i murem, drewnianą oponę z niego zrzuciwszy, nadto jeszcze niektóre przedsięwziął naprawy.

Wreszcie po wielu kłopotach i zawódach, po dwustu latach starań nieustannych, Bernardyni zaczęli się zbliżać do upragnionego celu. Dziwnie posłużyła im do tego wojna szwedzka. Zaraza wtedy dziesiąt-

kowała ludność w Warszawie. Nowicyat Bernardynów warszawskich znów tułać się musiał po różnych klasztorach. Z Ostrołęki, gdzie dognała go zaraza, uciekli Bernardyni do lasów, tam, wśród zimy, pobudowali sobie budy, stamtąd chodzili po wsiach, nauczali lud, udzielali Sakramentów. W stolicy mało ich zostało. Na krótko przed zarazą, pobożni udali się z prośbą do oficyna warszawskiego, księdza Wierzbowskiego, żeby do trzech celniejszych Patronów miasta i obrońców od zarazy, dodał czwartego jeszcze: Ładysława z Gielniowa. Patronami onymi byli: Najświętsza Panna Łaskawa u Pijarów, Ś-ty Roch w kościele Ś-go Krzyża i Stanisław Kostka u Jezuitów. Prosilili dalej pobożni, aby na cześć tych Świętych i nowego Patrona, nakazał publiczne procesye i modły. Wierzbowski zezwolił na to 18 kwietnia 1705 r. Pierwsza procesya na cześć Ś-go Ładysława, z jego obrazem, odbyła się po mieście od kościoła Ś-go Jana do Bernardynów 4 maja, t. j. w dzień śmierci Ładysława. Trzy lata nie było słyhać o zarazie. W r. 1708 znów pozwolił biskup Wierzbowski na procesyę i modły ku czci Ładysława. Nabożeństwo odbyło się z wielką wystawnością, trwało całą oktawę.

Proces nowy o cudach rozpoczął Jan Tarło, biskup poznański, jako wyznaczony do tego przez Rzym komisarz apostolski i ksiądz Michał Barankiewicz, były prowincyał. Procesów poprzednich Rzym nie uznał za dostateczne. Teraz król, prymas Teodor Potocki i najznakomitsze osoby kraju uczestniczyły w tej sprawie zakonu. Mimo to sprawa się wlekła. W r. 1729 Tarło raz drugi wyznaczył do badania cudów księdza Zachniewicza, proboszcza Panny Maryi. W sześć tygodni potem ksiądz Barankiewicz mógł jechać do Rzymu z gotowym procesem. Na przeszkodzie stanęło bezkrólewie, ale sprawa rażniej poszła za Augusta III, którego żona, bardzo pobożna, często bywała u Bernardynów na Mszy. Tu już publicznie odbywały się oracye na cześć Ładysława, którego teologowie zakonu nazywali „Patronem Królestwa”. Raz uroczystem nabożeństwem ku czci Ładysława celebrował oficynał Grzegorzewski, kazanie prawił kanonik Zdzieborski, w kościele znajdowali się biskup łucki i pisarz litewski ksiądz Wołowicz, oraz inni dygnitarze.

Komisję zakończono 31 marca 1748 r. hymnem Ś-go Ambrożego. Bernardyni już mieli nowe listy od króla do Rzymu, a i biskup poznański, Czartoryski, usilnie kanonizacyę popierał. Nastąpiła wreszcie. Dnia 3 sierpnia 1750 r. odbyło się pierwsze nabożeństwo na cześć Ś-go Ładysława; celebrowali: Accoramboni, kanonik warmijski i Szeptycki, sufragan łucki, który odśpiewał Nowennę. Ołtarz wielki przystrojono w cztery piramidy, rzęsiście obstawione ślicznymi lampionami w różne mienione kolory; także w dwa kolory świece jarzące paliły się nad wizerunkiem Ładysława. Na tem nabożeństwie znajdowała się królowa

i moc ludu. W trzy lata potem odprawiła się tutaj Wotywa dziękczynna za wyrok pomyślny, wydany przez Stolicę Apostolską w sprawie Błogosławionego. Ojciec Ś-ty bowiem uznał Ładysława Patronem Polski i Litwy, doroczną uroczystość jego podniósł do stopnia pierwszego, nakazał ją obchodzić z oktawą. Bernardyni opóźniali się z tem nabożeństwem dlatego, żeby jednocześnie módz obchodzić jubileusz trzechsetnego pobytu w Polsce. Szczątki Ładysława wtedy w srebrną trumnę położono, odtąd na doroczny fest biskupi tutaj celebrowali.

Nie temi jednak nabożeństwami odznaczał się wśród świątyn warszawskich kościół Ś-tej Anny za panowania Sasów. Wiek to był dziwnie nastrojony ku nabożeństwu, więc co chwila obchody, pamiątki, uroczystości, które zajmowały duchowieństwo i lud warszawski, opierały się to o inne kościoły, to o Bernardynów. Bractwo Ś-tej Anny ze składek sprawiło nowe dzwony, które poświęcił raz w dzień Ś-go Ładysława 1721 r. biskup Tarło, w obecności wielu senatorów; drugi raz podobna uroczystość odbyła się r. 1728. Potem następują uroczystości wprowadzenia kilku Bractw. Najświeńniej odbyło się wprowadzenie Bractwa Ś-go Jana Nepomucena z kolegiaty do Bernardynów. Celebrował na głównej procesyi sufragan kujawski ks. Kobielski. Innym razem wprowadzał z kolegiaty do Bernardynów Bractwo Drogi Krzyża Ś-go ks. referendarz Załuski. Niesiono wtedy na procesyi czternaście obrazów Męki Pańskiej. Wspaniały również był obrzęd wprowadzenia nowych kilku kanonizowanych Świętych z kościoła Jezuitów do Bernardynów. Zawsze na takich uroczystościach celebrował biskup, lub inny członek wysokiego duchowieństwa, znaczący wiele i w Rzeczypospolitej; towarzyszyły mu bractwa, cechy, niezliczone tłumy ludu; dla większej powagi przed biskupem szły zakony, za którymi postępowali kanonicy i prałaci kolegiaty, w kapach fioletowych. Inne bractwa w tym czasie zawiązywały się przy kościele bez uroczystych wprowadzeń. Więc cech kowalów został w r. 1726 bractwem religijnem i obrał sobie ołtarz Ś-go Stanisława.

Do tyłu pamiątek kościoła Ś-ej Anny przyłączyć musimy dysputy. Jezuici litewscy, przez szacunek dla Bernardynów, wyprawili w ich kościele dysputę na cześć Ś-go Bonawentury, a kiedy za to wdzięczność serafickiego zakonu ich spotkała, już odtąd corocznie w dzień tego Świętego odbywali tutaj dysputy publiczne. Wtedy i Ojciec Mateusz Roznerski, były prowincyał, mieszkający przy klasztorze, zajął się z pomocą dobrodziejów upiększeniem kościoła. Miał zakon w gronie swoim artystę, Walentego Żebrowskiego, który już cztery kościoły w prowincyi odmalował, — tego Roznerski do Warszawy sprowadził i dał mu nową robotę. Księżda Żebrowskiego są to wszystkie malowidła, które widzimy; malował je pomiędzy latami 1750 a 1753. Inny Bernardyn wykonał w za-

krystyi piękne szuflady i tablaturę. Roznerski myślał także o nowym organie, lecz śmierć go zaskoczyła. Po jego zgonie, Ojciec Józef Górski, gwardyan, wystawił słynne w całej Polsce organy.

Dobrodziejem klasztoru w tym czasie był, pomiędzy innymi, Jerzy książę Lubomirski, wojewoda krakowski. Zapisał on 10 tysięcy złotych na budowę facyaty, ale funduszu tego zgromadzenie inaczej użyło. O facyacie i odnowieniu całego klasztoru myślała ordynatowa Zamoyska, założycielka Kanoniczek na Marywilu. Pani ta, nabywszy ową część gruntu od Bernardynów, którą niegdyś Kazanowskiemu ustąpili, wystawiła tam pałac i poczuwała się stąd do pewnych obowiązków dla klasztoru. Była oraz wielką czcicielką Ładysława, dlatego po 150 dukatów z gruntu rzezonego płaciła na kosztą jego kanonizacyi. Chociaż umarła, zobowiązanie zostało, i naprzód Małachowski kanclerz, a potem ksiądz Młodziejowski, posiadacze pałacu, po 150 dukatów klasztorowi płacili. Obydwaj byli syndykami Bernardynów, jeden po drugim w tej godności nastąpił. Kiedy Młodziejowski został biskupem poznańskim, w roku 1768, do kolegiaty Ś-go Jana od Bernardynów był wprowadzany.

Za króla Stanisława Augusta, kościół Ś-tej Anny, słynny dotąd tylko nabożeństwami i pamiątkami, stał się modnym wielkiego świata kościołem. Najwięksi magnaci, zamieszkali w stolicy, w gruncie rzeczy bezbożni, zajeżdżali karetami przed Bernardynów w niedziele i święta. Wracając lub jadąc do zamku, świat wielki raczył, dla mody, pokłonić się Bogu. Szeregi powozów zajmowały wtedy daleko przedmieście, a w kościele brzmiała dobrana muzyka, elegancka młodzież śpiewała kunsztowne pieśni. Lecz z tej masy niby pobożnych panów jeden tylko Stanisław Pctocki pomyślał o przyozdobieniu facyaty kościoła, a nawet i on nie wytrzymałby w zamiarze, bo składka, jaką zebrał, okazała się niedostateczną, gdyby nie pomoc Kwiecińskiego, mieszcza-nina warszawskiego i króla Stanisława Augusta. Ich to kosztem Aigner zaczął przerabiać facyatę kościoła w roku 1778, a Kwieciński jeszcze sam obmurował z brzegu, od wejścia, kaplicę Najświętszej Panny Sokalskiej i wyznaczył fundusz na ogrzewanie jej w czasie zimy. Napis łaciński nad podwojami kościoła uwiecznił tę ostatnią pamiątkę trzech głównych fundatorów facyaty. Stany Rzeczypospolitej wtedy pozwoliły, żeby starosta warszawski ustąpił na własność klasztorowi włókę lasu z dóbr królewskich pod Grodziskiem i wszystkie posiadłości Bernardynów w Warszawie zatwierdziły.

Prusacy założyli obok kościoła odwach, a później, już za czasów Królestwa Polskiego, Aigner z polecenia rządu nadał dzwonnicy kościoła kształt starożytny, nieforemną zaś ścianę klasztoru po nad tym odwachem przykrył galerią jońskiego porządku. Stało się to w roku 1818. Później przybyło wiele świetnej ozdoby kościołowi przez Loret. Jeszcze w ro-

ku 1811, kiedy klasztor Bernardynów, zbudowany na Pradze przez Władysława IV, miał być rozebrany, przeniesiono do kościoła warszawskiego obraz najświętszej Panny Loretąńskiej i jako najdroższy klejnot, złożono w skarbcu. Po latach jedenastu pobożni, ubolewając, że tyle przywilejów, przywiązanych do tego obrazu, marnie ginie, postanowili przy kościele wybudować dla niego kaplicę. Aktu przeniesienia obrazu na ołtarz, który stanowił zawiązek kaplicy, dopełnił Daniel Ostrowski, biskup Betsaidy, w roku 1822. Następnie w roku 1824 zawiązało się Bractwo Sodalistwa Laterańskiego, któremu Papież Leon X nadał odpusty i przywileje. Pierwsza składka na budowę kaplicy, złożona na ręce promotora kaznodziei miejscowego, wynosiła ledwie 2 tysiące złotych. Drugi z kolei promotor i kaznodzieja, ksiądz Franciszek Morański, założył fundamenta pod kaplicę w roku 1830, a w roku 1833 żwawo około budowy krzątać się począł. Znaczny fundusz na ten cel przeznaczył Jan Kolumna Żaboklicki, mistrz obrzędów dworu Królestwa Polskiego, a starsi sodaliści chętną pomoc głównemu dobroczyńcy nieśli. Figurę Najświętszej Panny, którą postawiono nad nową kaplicą Loretu, dzieło rzeźbiarza Czajkowskiego, poświęcił w roku 1836 ksiądz Franciszek, kaznodzieja. Kaplica stanęła ostatecznie w r. 1837. Poświęcał ją i ołtarz, oraz Mszę pierwszą w niej odprawił ksiądz Antoni Kotowski, oficyał i dziekan metropolitalny, z polecenia arcybiskupa Choromańskiego, a nazajutrz sam arcybiskup, w otoczeniu Kapituły, wobec kilkunastu tysięcy ludu, z uroczystą procesją figurę Matki Boskiej Loretąńskiej przeniósł do nowej kaplicy.

Z kolei dobrodziejem kościoła staje się ksiądz Franciszek Morański. Nie posiadając żadnych zasobów, postanowił odnowić cały kościół. Czas był po temu. Od ostatniej naprawy upłynęło lat sto, wiązania się rwały, przez dach dzwonnicy woda przeciekała. Kościół zatarty w ozdobach swoich, obnażony w wielu miejscach z tynków i organ zrujnowany smutny przedstawiał widok. Zwierzchność zakonu z boleścią patrzyła na upadek świątyni. Kiedy w roku 1843 władze miejskie usunęły z przed kościoła baryery, a chodnik po tej stronie ulicy pokryły smołowcem i odnowiły facyatę, ksiądz Morański o odnowienie całego kościoła kołatać zaczął. Jakoż w roku 1846 gmachy frontowe zupełnie wyporzadzono, kościół kamiennym kolorem pociągnięto. Ksiądz Morański nie przestał na tem; przez biskupa administratora Chmielowskiego uzyskał od rządu wsparcie na wewnętrzną odnowę kościoła. Odnowę rozpoczął w roku 1848, w kwietniu, a już dnia 24 września tegoż roku, jako w dzień Świętego Ładysława z Gielniowa, kościół otworzony został. Sumę celebrował wtedy rektor akademii duchownej, z kazalnicy przemawiali księża: Przewłocki i Bonawentura Mańkowski.

Staraniem też księdza Morańskiego otrzymał kościół Bernardynów przywileje i odpusty od Stolicy Apostolskiej dla Arcybractwa Najświętszego Niepokalanego Serca Maryi, przy tym kościele związanego. Nowy to był przywilej dla kaplicy Loretańskiej i stąd nowe nabożeństwo, odprowadzane co soboty, począwszy od 10 czerwca 1843 r.

Kaplica Najświętszej Panny Sokalskiej, ufundowana w roku 1788 przez Kwiecińskiego, aż do roku 1847 w stanie pierwotnym przetrwała. Odnowił ją następnie dawny pułkownik polski, Jan Fiedorowicz.

Nagrobków kościół warszawski Bernardynów nie posiada, chociaż prochy wielu znakomitości w nim spoczywają. Na ścianie kościoła, obok kaplicy Loretańskiej, widzimy tablicę marmurową położoną, ku uczczeniu pamięci Heleny z Pokrzywnickich Gomolińskiej, podkomorzyny łęczyckiej, która zmarła w Warszawie, 31 grudnia 1808 r., przeżywszy lat 92.

Takie oto są dzieje kościoła i klasztoru, w którym żył, pracował i umarł Ładysław z Gielniowa.

(D. c. n.)



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

1

*Dla umocnienia Twego, Czytelniku, podajemy te pełne prawdy,
wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego.
Czytaj, rozważaj i wznos serce do Boga, źródła wszelkiego dobra
i szczęścia.*

W Afryce: Okrutny handel.

Słońce weszło w całym blasku — pisze ks. Neu, głoszący wiarę świętą wśród murzynów w Gabonie — i jasnymi promieniami ozłociło szczyty pagórków przylądka *Esterias*. Niebo błękitne bez najmniejszej chmurki zapowiadało jeden z tych dni pięknych i gorących, jaki tylko w Afryce zwrotnikowej widzieć można. Liczni murzyni, mężczyźni, kobiety i dzieci — pomiędzy nimi nawet królowie z dostojnymi swymi małżonkami, cisnęli się tłumnie w dziedzińcu przed moją małą chatką, żądając ode mnie „dobrego roku“...—„Żądając?“ — zapytacie zdziwieni... — Tak — rzeczywiście — żądali „dobrego roku“, gdyż w Afryce, niezbadanej dotychczas i pełnej tajemnic krainie, nie *życzą* dobrego roku, lecz *żądadają*.

— Dobrego roku! — rozlegają się głosy. — Biały, daj mi dobry rok!

Oto wyrazy, które nawpół dzieci murzyni powtarzają przez cały pierwszy dzień każdego rozpoczynającego się roku.

Murzyn, choćby nawet miał niekorzystne pojęcie o białych, pomimo to nie przestaje domagać się datku; nastaje, krzyczy i stara się

DROGĄ ŚWIĘTYCH MĘCZENNIKÓW WSRÓD POGAN.



Afryka. Śmierć murzyna-niewolnika podczas polowania na słonie.

choćby gwałtem wymódl coś na tym, który tak mało hojnym dla niego się okazuje i nie chce mu dać tego, czego on żąda.

*

*

*

Tak się stało obecnie i ze mną. Hałas i wrzask na dziedzińcu stawał się coraz głośniejszym; zrozumiałem, że czas wreszcie żądaniom ustąpić. Wyszedłem zatem przed dom z dwiema butelkami napitku w ręku i wręczyłem je najstarszym z obecnych naczelników:

— Weźcie i rozdzielcie to między zebranych; jest to datek noworoczny, który „biały wam daje“.

Rozległy się szalone na cześć moją okrzyki:

— „Biały jest dobry! biały jest bardzo dobry!“

W chwili największego zamieszania, przybyło do mnie z życzeniami noworocznymi dwóch gości; byli to zawiadowcy okolicznych faktoryj. Pierwszy z nich, Niemiec czystej krwi, jednym susem przeskoczył cztery stopnie schodów, prowadzących do mej chatki, przebiegając w pobliżu, krótko mnie pozdrowił i wpadłszy do salonu, zaczął wyrzucać oknem wszystko, co się znajdowało na stole.

— Co pan robisz? — zapytałem go, widząc, jak chleb mój ulatnia się przez okno.

— Daję im „dobry rok“.

— A cóż my jeść będziemy?

— Czyż to całe wasze zapasy? Hej! mój chłopcze, skocz do mnie i przynieś chleba, szynki, konfitur...

— Nic nigdy z tych ludzi nie zrobisz — odezwał się drugi z mych gości.

— Potrzeba na to czasu i cierpliwości.

— Skutek będzie bardzo nieznaczny, albo żaden.

— Moi panowie — rzekłem im na to. — Nadzwyczaj jestem zadowolony, że mogę kłamać tym waszym mylnym zapatrywaniom; to samo bowiem, co wy nam dzisiaj zarzucacie, zarzucają nam i inni, choć niestety, pokryjomu, gdyż nie śmią tego w oczy uczynić. Zaznamię was zatem pokrótce ze skutkami, jakie przez misjonarzy osiągnięte zostały.

Przed trzydziestu i mniej nawet laty nie było w całym Gabonie i jednego murzyna, któryby umiał czytać i pisać; dziś młodych ludzi, którzy otrzymali najniezbędniejszą przynajmniej naukę, nawet policzyć trudno. Sam handlowy dom niemiecki ma ich więcej, niż czterystu w swych faktoryach, dom angielski jeszcze więcej. Rząd i inne domy handlowe zatrudniają znaczną ilość naszych dawnych wychowanców

i gdyby ich nie było, przedsiębiorstwa wasze z pewnością nie znajdowałyby się w tak kwitnym stanie, w jakim się obecnie znajdują. Chrześcijanie-murzyni, zajęci u was, są o wiele sumienniejsi i zdolniejsi od ciemnych i nie mających żadnych zasad moralnych pogan. Czyż skutek ten nie jest cudownym?

Co więcej, przed trzydziestu laty nie było w Gabonie murzyna, *któryby umiał jakiekolwiekbydź rzemiosło*, a dzisiaj większa część tutejszych rękodzielników, to *uczniowie naszych zakładów*. Bez nich zmuszeni bylibyście sprowadzać rzemieślników z Europy, którzy za wyższą daleko zapłatę nie pracowaliby z pewnością tak sumiennie, jak tutejsi.

To samo i o robotnicach powiedzieć można; wszędzie znajdziecie praczki, szwaczki, które swych rzemiosł wyuczyły się w zakładzie naszych Sióstr. Niechże to posłuży tymczasem dla waszej wiadomości; tym sposobem zwycięsko potrafimy odeprzeć zarzuty tych, którzy twierdzą, że „murzyn niczego nauczyć się nie jest w stanie“...

Skutki, jakie osiągnęliśmy *na polu religijnem*, są równie korzystne. Mamy kilka wsi chrześcijańskich, w których stałość naszych neofitów nie prawie nie pozostawia do życzenia. Bez naszych chrześcijan rząd otoczony byłby samymi dzikimi. I jeżeli dzisiaj spotkać można jeszcze w Gabonie ludzi mówiących po francusku i dumnych z tego, że są Francuzami, jeżeli troszkę choćby jeszcze oglądy w nich znaleźć można: *to wszystko jedynie wysiłkom naszych misjonarzy zawdzięczyć należy*.

Niemiec widocznie czuł się zaniepokojonym, namyślał się, co ma mi odpowiedzieć, gdy nagle przeraźliwy huk piorunu, wskutek którego obydwa przyjaciele o mało co nie pospadali z krzesel, wstrząsnął podwalinami mej chatki.

Widnokrąg w jednej chwili zaciemnił się zupełnie, a gęste czarne chmury od południa zwartym nadpływały szeregiem i zapowiadały jedną z tych burz gwałtownych, jakie tylko w krajach zwrotnikowych widzieć można. Częste błyskawice jasnymi swymi smugami ognia oświecały widnokrąg, uderzenia piorunów odpowiadały sobie ze wszystkich czterech stron świata, wiatr wył przeraźliwie i olbrzymie drzewa kokosowe do samej prawie przyginał ziemi. Morze z wściekłością biło o brzegi, a krajowcy w swych lekkich czółenkach przed orkanem, szalejącym na wzburzonym morzu, do pewnej chronili się przystani. Wkrótce deszcz zaczął lać strumieniami.

Murzyni za pierwszym ogłosem grzmotu schronili się do swych mieszkań i na dziedzińcu, przed chwilą tak ludnym, pozostało jedynie kilka kaczek, które z wrodzonego sobie zamiłowania do mokrego żywiołu, wesoło pluskały się w wodzie. Nagle przy świetle błyskawicy zdało mi się, że z po za pnia drzewa bananowego widzę ukazującą się głowę murzyna.

Przetarłem oczy, aby lepiej widzieć. W półmroku, wywołanym przez ulewę, zarysowała się wyraźnie postać ludzka, która spostrzegłszy mnie, postąpiła o krok naprzód. Był to murzyn-niewolnik, który nie bacząc na ulewę, pełen stoickiego spokoju, stał w miejscu i oczekiwał tylko zachęty z mej strony, aby się zbliżyć.

— Schrońże się przecie przed deszczem! — zawołałem do niego.

Murzyn nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć; jednym skokiem znalazł się w kuchni małej chatki bambusowej o dwa kroki od mego domu mieszkalnego odległej.

— Jest to niezawodnie niewolnik — myślałem sobie — zapewne przychodzi szukać u mnie opieki, przed okrucieństwem swego pana.

Gdy moi dwaj goście po przejściu burzy oddalili się do swych mieszkań wezwałem go do siebie.

Był to dziarski, wysoki i zgrabny dwudziestoletni może młodzieniec z miną śmiałą i marsową, z oczyma wyrazistemi, choć rysy jego głęboki pokrywał smutek.

— Cóż tu robisz, mój synu? — zapytałem go.

Młodzieniec rzucił się przede mną na kolana, pochwycił brzeg mej sukni i zanim mu byłem w stanie przeszkodzić, porządną mi w niej wydarł dziurę.

— Co ty robisz? Zdaje mi się, żeś zmysły postradał.

— Panie — odezwał się głosem błagalnym — więc mnie nie oddalisz?

— Lecz czyż na to potrzeba ci było niszczyć mi moje ubranie?

— Jest to przyjętym u nas, niewolników, zwyczajem, że skoro chcemy opuścić naszego pana, wyszukujemy sobie drugiego, rzucamy się przed nim na kolana i rozdzierając mu suknię, odzywamy się do niego ..

— Widziałem to już nieraz — przerwałem mu nieco zniecierpliwiony.

— ...Pan odpowiada mi na to: Ponieważ rozdarłeś mi ubranie, będziesz moim niewolnikiem... i układa się następnie z dawnym panem.

— Jesteś więc niewolnikiem?

— Tak, panie!

— Jesteś niezadowolonym z twego dawnego pana?

— Chce mnie zabić.

— Jest to poważna sprawa; cóż więc zrobisz?

— Czy nie wiecie o tem, że u nas, czarnych, umiera się wskutek zadanej trucizny, lub w męczarniach wynalezionych przez czarownika fetysza? ..

— Wiem o tem. Przedłóż mi więc twoją sprawę.

— Jaką sprawę?

— Tę, która cię tu sprowadza.

— Natychmiast to uczynię.

— Lecz przede wszystkim udziel mi kilka szczegółów o sobie. Skąd przybywasz? Jak się nazywałeś? Gdzie ojciec twój, gdzie pan i wioska rodzinna? Czy oddawna już pozostajesz w niewoli?

Kazałem przynieść wody i suszonej ryby. Młody człowiek jadł podane potrawy i opowiadał:

Nazywam się Simbaloba. Ojciec mój, naczelnik pięknej wioski, sławnym był strzelcem.

Czułem się zupełnie szczęśliwym, lecz szczęście to moje trwało niestety, zbyt krótko.

Pewnego dnia ojciec mój i większa część strzelców z wioski wyruszyli za stadem słoń, których trop odkryto w pobliżu.

Podczas nieobecności wojowników zawitał do sąsiedniej wioski człowiek biały, zwany Pénalty, trudniący się polowaniem na ludzi, w towarzystwie około dziesięciu czarnych bandytów.

Naczelnik tej wioski żył z mym ojcem w niezgodzie; skorzystał więc z przybycia handlującego murzynami, aby się na nim zemścić. Ojciec mój wrócił do domu z jednym tylko strzelcem, gdyż reszta pozostała w miejscu, gdzie się słońce znajdowały, i nazajutrz mieliśmy wyruszyć wszyscy w celu obsaczenia stada.

Wszelkie przygotowania do jutrzejszej wyprawy już były uskutecznione, gdy około północy na wioskę naszą napadł Pénalty, wraz z swymi czarnymi strzelcami.

Starców mordowano bez litości, małe dzieci wrywano z objęć matek i robijano im głowy o słupy płotów, resztę schwytano i powiązano.

Ja znajdowałem się pomiędzy jeńcami, również jak moja matka i ojciec, który bohatersko się bronił, i dopiero wobec przewagi nieprzyjaciela musiał się oddać w ręce Pénaltego.

Zapędzono nas wszystkich do wioski nieprzyjacielskiej, i przez sześć dni zamknięci byliśmy w smrodliwej, brudnej i wilgotnej chacie, która o wiele za szczupłą była na tak znaczną liczbę jeńców.

Matka moja bezustannie zalewała się łzami, ojciec w ponurym pogrążony był smutku, reszta wyrzekała w sposób okropny. Lecz za każdym razem, gdy biedne ofiary zbyt głośno żał swój za utraconą objawiały wolnością, wchodził jeden z ludzi Pénaltego, i biczem bił na prawo i na lewo bez litości. Każde z takich uderzeń pozostawiało w ciele szeroką i głęboką ranę, z której krew wytryskiwała obficie

i obryzgiwała najbliższych; im głośniej krzyczano, tem gęstsze padały razy.

Codziennie liczba jeńców się zwiększała, gdyż Pénalty urządzał wyprawy do wszystkich sąsiednich wiosek. Ostatniego dnia tak byliśmy ściśnieni, że poruszyć się nawet nie byliśmy w stanie. Dusiliśmy się wskutek okropnego powietrza, o którego odświeżaniu wcale nie myślano, gdyż nikomu tego okropnego więzienia nawet na chwilę opuścić nie było wolno.

Około południa dawano każdemu z nas garnczek kukurydzy lub garść ryżu, i to stanowiło nasze całodzienne pożywienie. Wody dostarczano nam w obfitości, lecz była to woda rzeczna, ciepła i pełna szkodziwych pierwiastków. Mimo to każdy pochłaniał znaczną jej ilość, co wielu z nas o ciągle przyprawiało wymioty.

Pierwiastki, znajdujące się w rozkładzie, wymioty, wszelkie nieczystości, wyziewy tyłu ciał, wszystko to zakażało powietrze i zamieniało więzienie nasze w miejsce, w którym pobyt nie był możliwym.

Wielu z pomiędzy nas było chorych i znaczna część z nich pomarła, a i reszta z pewnością nie byłaby stąd wyszła żywo, gdybyśmy dłużej jeszcze tem okropnem, zepsutem powietrzem oddychać byli zmuszeni.

Na szczęście wybiła godzina naszego pochodu. Wyciągano nas na zewnątrz i w miarę, jak opuszczaliśmy nasze okropne więzienie, ludzie Pénaltego łączyli nas po dwóch i zakładali na nas rodzaj wideł albo kleszczy.

Widły te składały się z dwóch kijów, które w środku przymocowane były jeden na drugim, a rozchodząc się na obydwie strony, rozwartymi kończynami obejmowały karki więźniów.

W miarę, jak więźniowie w takie jarzmo przybrani zostali, rzucono ich jak żywy towar do łodzi, które Pénalty wynajął do przewiezienia karawany.

Wreszcie, gdy wszyscy zostali umieszczeni i upakowani, Pénalty dał sygnał do odjazdu.

Był to widok rozdzierający serce. Ze wszystkich rozpaczą znękanych piersi wydobywały się krzyki, płacze, wycia. Najwięcej pożałowania godni byli siedzący obok siebie parami wiosłarze. Wskutek poruszenia, jakie każdy z nich przy wiosłowaniu robić musiał, widły jego zwracały się ku szyi sąsiada, głębokie mu zadając rany, które wskutek ciągłego tarcia stawały się coraz głębsze.

Jakaż to męka dla tych biedaków pracować w takim jarzmie!

W chwili odjazdu, rzucono mnie na dno łodzi, przyczem upadłem na biedną jakąś kobietę i widły wiążące mą szyję zraniły jej twarz okropnie. Krzyczała biedaczka w niebogłosy i chcąc się pozbyć strasz-

DROGĄ ŚWIĘTYCH MĘCZENNIKÓW WŚRÓD POGAN.



Afryka Walka murzynów z handlarzami niewolników.

nego ciężaru, jaki ją przygniatał, zębami kasać mnie zaczęła. Wzajemne nasze krzyki zwróciły uwagę jednego ze strzelców; udarował nas za to uderzeniem bicia, które zraniło do krwi mi piersi i ramiona murzynki. Krzyki nasze rozległy się ze zdwojoną siłą, a zbój ten już do nowego zamierzał się ciosu. Aby uniknąć większych mąk, zniosłem w milczeniu gwałtowny ból, jaki przenikał wszystkie moje członki... Żadna ła, żaden krzyk rozpaczy nie był w stanie zmiękczyć serc tych oprawców.

Wieczorem tego pierwszego dnia naszej podróży znajdowaliśmy się w pobliżu jakiegoś wodospadu. Wszystkich więźniów zaprzężono do długiej liny, aby przyciągnąć łodzie po za niebezpieczny spadek. Pomimo że każdy z nas ciągnął, o ile sił starczyło, dozorczy nie przedstawiali uderzeniami bata pobudzać nas do tem większego wysiłku; wiele kobiet przy tem poginęło.

Dzicy nasi nieprzyjaciele poprzestali na tem, że odczepili je od liny i porzucili o dwa kroki od ścieżki, gdzie te nieszczęśliwe bez wątpienia stały się pastwą tygrysów.

Wreszcie okropny ten dzień się skończył i dozwolono nam spocząć przez resztę nocy na piaszczystem wybrzeżu.

Byłoby to dla nas nieocenionem dobrodziejstwem, gdybyśmy rzeczywiście spać mogli, choć leżenie z widłami na szyi nie było zbyt przyjemnem; lecz szczęścia tego dostąpić nie byliśmy w stanie. Miliony moskitów, tych owadów wiecznie krwi łaknących, obsiadły rany, któremi prawie wszyscy byliśmy pokryci, i wysysały tę resztkę sił, jaka w nas jeszcze pozostała. Pomimo, że żarłoczne te komary kłuły nas i nieznośnie nam dokuczały, nie mogliśmy ich nawet chwycić, gdyż najmniejsze poruszenie sprawiało okropne boleści naszemu sąsiadowi.

Siedm dni i siedm nocy następnych nie różniły się w niczem od tego pierwszego dnia i pierwszej nocy naszej podróży; oszczędzę wam zatem — panie, szczegółowego opisu strasznych mąk, jakie wszyscy przechodziliśmy. Ale to powiem, że później służyłem u srogich panów, widziałem dzikie i bezlitośne obchodzenie się z niewolnikami, lecz nigdy i nigdzie nie spotkałem serc tak twardych i nieczułych, jak u tych handlarzy ciałem ludzkim. Zajęcie się tem okropnem rzemiosłem zatracca w piersiach ludzkich wszelkie, choćby najmniejsze ślady ludzkości.

Ósmego dnia naszej podróży przybyliśmy do rozległego jeziora, gdzie już od dwóch dni oczekiwał nas ukryty w małej przystani dwumasztowy statek.

Handlarz towar swój oddał kapitanowi i gdy podniesiono kotwicę, zawrócił się ze swymi czarnymi strzelcami w tę samą stronę, z której dopiero co przybyliśmy; wyruszał z pewnością na nowe wyprawy. Co do nas, to wszystkich zamknięto na samym spodzie statku.

Cóż to za straszliwe piekło—ten spód okrętu! Miejsca nie było na tylu ludzi. To też wkrótce zepsute powietrze i okropne wyziewy tamowały mi oddech, zaczęło mi się robić niedobrze i żołądek mój wreszcie się zbuntował. Byliśmy rzeczywiście w prawdziwym chlewie. Straszna woń zwiększała się co chwila, zewsząd rezlegały się tylko płacze, westchnienia, krzyki i jęki więcej niż dwustu ludzi, którzy wili się z boleści i doznawali zwykłych skutków choroby morskiej.

Gdy statek rozwinął żagle, kołysanie jego zwiększyło nasze cierpienia. Uderzaliśmy o siebie i wpadaliśmy ciągle jeden na drugiego, raniliśmy się o boki i belki okrętu. Morze coraz więcej burzyć się zaczęło; zamknięto strzelnice, skutkiem czego nie byłem w stanie oprzeć się niemocy, jaka mnie dławiała; straciłem oddech, zdawało mi się, że się duszę... wreszcie zemdlałem.

Jak długo byłem nieprzytomnym — dokładnie oznaczyć tego nie mogę, wiem tylko, że się obudziłem na pokładzie statku, przywołany do życia wodą, którą mnie bezustannie zlewano. Dwanaście innych osób leżało obok mnie również bez przytomności, a przód statku zapchany był więźniami, którym wreszcie uznano za potrzebne udzielić nieco zdrowego, a do życia tak niezbędnego powietrza.

Kapitan, pomimo swej szorstkiej powierzchowności, posiadał jednak serce, pielęgnował nas, jak rodzona matka. Polubił mnie nawet i przeznaczył do swej osobistej obsługi. Z tej połowicznej wolności, jaką uzyskałem, korzystałem, aby nieść ulgę nieszczęśliwym moim rodzicom. Lecz biedny mój ojciec stał się zupełnie obojętnym na wszystko i przyjmował wszystkie me około niego starania i zachody, nie patrząc nawet na mnie; wzrok jego bez wyrazu nieruchomie wciąż w jeden punkt był utkwiony. Tyle nieszczęść zadały rozumowi jego cios śmiertelny.

Płynęliśmy trzy dni, z tych dwa wpośród ciasnej i krętej przystani, wreszcie zarzucił statek kotwicę naprzeciw małej wioski *Lisboa*.

Ja pozostałem na okręcie w charakterze służącego kapitana, lecz resztę więźniów wysadzono na ląd i przykuto do łańcucha. Gdy ujrzałem ojca i matkę, znikających wraz z karawaną po za wioską *Lisboą*, okropna opanowała mnie myśl; wskoczyłem do wody, popłynąłem do brzegu i pobiegłem za mymi rodzicami. Poganiacze jednakowoż przyjęli mnie chłostą i jeden z nich odprowadził mnie na okręt, gdzie mnie szamocącego się i krzyczącego z bólu i rozpaczny zamknięto na spodzie okrętu na resztę dnia i całą noc następną.

Odtąd nigdy już nie widziałem rodziców i nie wiem, co się z nimi stało. Niestety, prawdopodobnie już poumierali.

Kapitan za ten czyn mój ostatni nie czuł do mnie najmniejszej urazy, kazał wyswobodzić z mego więzienia i powierzył mi na nowo miejsce służącego. Przez dwa lata zwiedzałem z nim na pokładzie sta-

tku rozliczne przystanie, rzeki i jeziora zasilane przyprływami wód *Ogo-wé*. Wysiadałem na ląd we wszystkich wioskach, zawierałem znajomość z królikami tych okolic, brałem udział w ich obchodach uroczystych i nocnych tańcach.

W swych podróżach skupował kapitan kość słoniową, kauczuk i t. p., lecz rzadko kiedy powracał do Lisboy bez niewolników. Zostałem zatem i ja mimowoli „handlarzem murzynów!”

Wypadek, który spotkał kapitana na polowaniu, położył wreszcie kres temu jego życiu koczowniczemu. Zraniony przez rozwścieczonego bawoła, musiał porzucić swój zawód i powrócić w swe strony rodzinne. Rozstając się ze mną, pozostawił mi list, w którym obdarzał mnie wolnością.

Nieliczni podróżni, którzy w r. 1880 zwiedzali Lisboę, nie domyślali się wcale, że niepozorna ta wioska była właśnie gniazdem rozbójników, i że miłuchny biały domek, w którym portugalczyk José sprzedawał wódkę, tytoń i cukier, był główną kwaterą potworów handlujących ludźmi i kupców na ten towar żywy.

Dzięki policyi francuskiej, *skład ten hebanu*, czyli innemi słowy — kaźnia niewolników, nie istnieje już dzisiaj. Czy zaś powstał inny — nie wiem; w każdym razie, niepodobna jest komukolwiek, kto sam nie był niewolnikiem, wyobrazić sobie, co się dzieje w tym przybytku cierpień.

Gdy kapitan miał wyjeżdżać z Lisboy, polecił mię swojemu sternikowi, który poprzednio należał do bandy Pénaltiego. Sternik ten był rodowitym Gabończykiem i nazywał się Revigné. Nieraz jeździłem z nim na statku, znał mię więc dobrze i byłby bardzo rad posiadać niewolnika tak obrotnego, jakim był dawniej w służbie kapitana.

Przyszedł więc do mnie, starając się uwieść mnie obłudnemi i kłamliwemi obietnicami. Opór mój pomieszał mu szyki i postanowił dostać mię przemocą. Wynikła stąd żywa sprzeczka, a portugalczyk José, agent faktoryi lisboańskiej, przywołał swoich dozorców i odesłał nas obu do *składu*.

Droga, prowadząca do tej kaźni czyli *składu*, wiodła nas najprzód przez pola bananowe, poczem skręciła się w las. Wkrótce doszliśmy do miejsca, w którem droga rozchodziła się na dwie strony. Wejście na jedną ze ścieżek było zakryte kilkoma gęstemi krzakami, które dozorczy nasi na bok odgarnęli. Niebawem zeszliśmy w koryto potoku, którem szliśmy przez dobry kwadrans. Wyszedszy z niego, doszliśmy leśną ścieżką do długiej palisady z grubych mocnych palów. Jeden z dozorców wydał dwa razy okrzyk rudej małpki! *Ha-ku! Ha-ku!* Krzyk ten powtórzono wewnątrz i natychmiast spuszczone nam drabinę sznu-

rową. Wyszliśmy po niej jeden po drugim i znaleźliśmy się tym sposobem w *składzie* lisboańskim.

Skład ten był to czworobok, mający z 50 metrów długości i tyleż szerokości, a otoczony był mocną palisadą. Wewnątrz, w czterech rogach widać było piękne domki z desek, przeznaczone dla dozorców. Dla niewolników wystawiono długą szopę, otwartą na cztery strony, bez łóżek, bez stołów, bez siedzenia. Niewolnicy śpią na ziemi, jedzą na ziemi. Niewolnicy!... Czyż im potrzeba coś więcej nad harap i odrobinę nędznej strawy, aby z głodu nie umarli?... Jedynymi sprzętami, znajdującymi się w tym przybytku łez i boleści, były dyby i rzemienie rozrzucone w nieładzie tu i owdzie, oraz łańcuchy przykute do grubych pali wbitych w ziemię.

Gdyśmy przybyli do składu, ujrzelśmy tylko dwie kobiety, które z nogami spletanymi doglądały piekących się bananów, obok nich brazylijski mulat palił fajkę. Dozorca podniósł się, by powitać swych kolegów i przykuć nas do łańcucha.

— Pić mi się chce! — jęknął Revigné.

Brazylijczyk, nic nie mówiąc, obrócił się ku niemu i uerzył go biczem przez plecy. Gabończyk zawył z bólu. Dwa silne uderzenia były odpowiedzią dzikiego dozorcę:

— Ile razy będziesz mię trudił — dodał — tyle razy podwoję ci tę porcję.

Revigné nie dał sobie powtarzać tego dwa razy, wił się jak robak zdeptany, lecz milczał. Ja zaś wiedziałem doskonale, że dla niewolników nie gotują osobno i nie zważają, czy się im chce jeść lub pić; pomimo więc, iż byłem bardzo głodny i spragniony, cierpiełem w cisłości, nie mając wcale ochoty poznać się z „porcyami“ przyobiecane mi przez Revigné'go.

Nad wieczorem dwaj inni mulaci przyprowadzili dziesięciu niewolników z roboty.

Nieszczęśliwi ci ustawili się rzędem w szopie, gdzie każdego przykuto do osobnego pala. Stan, w jakim biedne te ofiary handlu się znajdowały, był przerażającym: wychudli jak szkielety, z twarzą zapadłą, w której tylko kości sterczały, mieli na ciele pręgi, jako ślady każdego uderzenia owym strasznym biczem ze skóry hippopotama; wszyscy byli przygnębieni, oglupiali, żaden się nie odzywał; patrzyli, nic nie widząc; błędny ich wzrok, smutny i martwy, gubił się w przestrzeni... O — był to straszny widok! Najgorszy, najniełitościwszy woźnica nie obchodził się w sposób tak okrutny z końmi, jak handlarze z niewolnikami. *Niema zwierzęcia na całym świecie, któreby musiało tak cierpieć, jak ci biedni murzyni, porwani od swych rodzin, natłoczeni jak towar bez czucia na czołna, lub dna okrętów, gdzie cierpią okropny brak wszystkie-*

go, a potem wydani dzikim handlarzom, którzy ich biją i obchodzą się najokrutniej, którzy o nich nie dbają w potrzebie i chorobie, którzy ich zmuszają pracować pod nieustanną groźbą bicia, pomimo wyczerpania ich sił, pomimo najokrutniejszych cierpień!... O — biały! Czy to nie straszne dla człowieka, co ma serce i czuje i myśli?

Gdy dozorczy powstali rano, wyganiali nas biczami z niechlujnej naszej szopy i prowadzili nas na robotę, która trwała do południa.

W południe kilka bananów lub trochę suszonego ryżu starczyło nam za całe pożywienie. O drugiej zaczęliśmy znów pracować, co trwało aż do wieczora.

Dozorcy nasi nie przemawiali do nas nigdy i nigdy nie powiadali, co mamy robić. Porozumiewali się z nami jedynie za pomocą kańczuga. Kańczug budził nas rano, kańczug wypędzał nas w pole, kańczug ustawiał nas w rzędy, kańczug wskazywał nam, gdzie mamy iść i co i jak robić.

Takie życie byłoby mię wkrótce wtrąciło do grobu. Szczęściem życie niewolników obfituje w różne zmiany i niespodzianki.

Nazajutrz po naszym przybyciu wezwano Revigné'go do Lisboy, aby objął ster statku. Wspólna niedola pogodziła nas z sobą, gdy więc odchodził, prosiłem go, by o mnie pamiętał. Przrzekł mi to i dotrzymał słowa. W tydzień potem przyszedł po mnie i zabrał mnie ze sobą.

Przybywszy do Lisboy, zobaczyłem, iż wszystkie domy i chaty były pozamykane. Cóż się tu stało?... Była to pomsta Revigné'go. Gabończyk nie zapomina nigdy krzywdy lub obrazy doznanej kiedykolwiek. Revigné'mu ciążył na sercu ów pobyt w *składzie hebanu*, a nadto handel stał się niemożliwym; zarobił on już niemało i pragnął powrócić do Gabonu. Wydał handlowego ajenta z Lisboy kapitanowi pewnej francuskiej kanonierki, a portugalczyk José został odesłanym do gubernatora Gabonu, by odpokutować za tak liczne łotrostwa. Revigné tymczasem nie próżnował wcale, wsiadł na statek, aby powrócić do swej ojczyzny i zabrał mię ze sobą.

Przez cały miesiąc objeżdżał uwolniony Revigné krewnych swoich i opowiadał im bohaterskie swe czyny. Towarzyszyłem mu wszędzie, nosząc za nim parasol, fajkę i jedyną chustkę do nosa.

Przy końcu miesiąca, po skończonym objeździe, odesłał mię mój protektor do wsi pośród lasów. Tam to znajdują się niewolnicy i kobiety podrzędne, zajmujący się uprawą ziemi. Do tychże leśnych ustroń schronił się upadający już fetysyzm i panuje w nich wszechwładnie. Tam to mają miejsce często przerażające sceny ludożerstwa i panowie niewolników swych poddają okrutnej próbie *mbundu* i innych trucizn; tamto wykonywują się wyroki śmierci i rozkazy fetyszerów (czarowni-

DROGA ŚWIĘTYCH MĘCZENNIKÓW WSRÓD POGAN



Airyka. Pochód murzynów-niewolników przez pustynię.

ków), tam również czarownicy ci są wszechwładnymi panami i tam odprawiają piekielne swe obrzędy, tańce po nocy i krwawe ofiary.

Wiesz, do której odesłał mię Revigné, leżała o 4 mile od Gabonu. Kilkunastu mężczyzn, prawie tyleż kobiet i kilkoro dzieci stanowiło całą ludność tej dzikiej osady. Naczelnik był to złośliwy starzec, niby niewolnik, niby wolny, to jest potomek niewolnicy i wolnego. Takich mieszkańców robią zawsze naczelnikami w *wioskach* gabońskich. To też są oni nadzwyczaj dumni, gdyż nie uważają się za niewolników. Naczelnikiem moim był stary Anguslé, który się uważał za równego swemu panu Revignému. Żona jego była tego samego pochodzenia, lecz dwaj jego bracia byli niewolnikami. Cztery te osoby stanowiły dobre grono i jako na pół wolni, rozkazywali całej osadzie. Reszta mieszkańców nie odznaczała się niczem, chyba brzydotą i nikczemnym wyrazem twarzy, w której przebijała prócz tego głupota i skłonność do wszystkiego najgorszego.

Znalazszy się pośród tych ludzi, zostałem powitany najprostszym i najbezczelniejszym szyderstwem. Nawał plugawych i sprośnych żartów, grad dotkliwych i oburzających grubijaństw oszołomił mię zupełnie, i ja, który przeniosłem tyle srogich nieszczęść i przeciwności, nie urońwszy jednej łzy, upadłem teraz na ziemię, skrapiając ją gorzkimi łzami.

Słońce już zaszło, każdy zasiadł do wieczerzy, nie zważając wcale na mnie. Ponieważ od rana nie miałem nic w ustach, a nikt nie okazywał chęci podzielenia się ze mną jedzeniem, przeto odważyłem się wreszcie powiedzieć naczelnikowi:

— Jeść mi się chce!

Brutalny wybuch śmiechu był odpowiedzią na moją rozpaczliwą odezwę.

— Czyż mię ty bierzesz za swego kucharza? — rzekł po chwili naczelnik — każdy u nas patrzy siebie, mój chłopcze, każdy sobie radzi jak może!

— Dobrze — pomyślałem sobie — jeżeli każdy radzi sobie jak może, to i ja sobie poradzę, ale dziś zapóźno już na to, niestety!

Na noc wyznaczył mi naczelnik małeńki kącik w swojej chacie. Miałem już zasnąć, gdy wtem zauważyłem, iż stary Anguslé nie spuszczał mię z oka; po dobrej chwili, myśląc, że już usnąłem, zbliżył się do mnie, skradając się jak lis, pochylił się nademną i oddalił się z pośpiechem. Postępowanie to wydało mi się podejrzanem. Zacząłem się mieć na baczności. Nie długo czekałem.

Anguslé zawołał swoich dwóch braci i jeszcze jednego krewnego i poszedł z nimi do chaty sąsiedniej.

Chciałem oczywiście wiedzieć, o co szło; wymknąłem się przeto cichutko i przyłożyłem ucho do cienkiej ściany. Jakże się zdziwiłem i przeraziłem, gdy usłyszałem, jak ta godna czwórka zmaśniała się, kiedy i w jaki sposób mają mi zadać truciznę dla uczynienia mię głupkowatym, idyotą.

Gabończycy, jak się o tem później dowiedziałem, mają zwyczaj zadawania swym niewolnikom pewnej trucizny, która ich czyni idyotami i następnie powolniejszymi, wierniejszymi, przywiązanszymi do swego pana. Dlatego też można poznać każdego niewolnika po głupkowatej, zalęknionej minie i po nikczemnej uniżoności, z jaką się płaszczy przed każdym wolnym człowiekiem. Anguslé, zgodnie z czarownikiem (fetyszerem), postanowił, iż doza ogłupiająca ma mi być daną nazajutrz przy jedzeniu, do którego mię zaproszą.

— Dobrze — pomyślałem sobie, — jesteś ostrzeżonym, a teraz miej się na baczności, aby udaremnić ohydny ten spisek.

Nazajutrz rano postarałem się o środek na wymioty, a gdy Anguslé zaprosił mię do jedzenia, usłuchałem i jadłem za czterech.

— Teraz już wszystko będzie dobrze — rzekł stary przy końcu obiadu — odtąd będę cię uważał za własne dziecko.

Podziękowałem mu za jedzenie i „dobre słowo“ i chciałem się oddalić, lecz chytry starzec dla większej pewności, kazał mi zostać przy sobie.

Byłem w rozpacz i już myślałem, że będę skazany na wieczną głupotę, gdy spostrzegłem, iż ten nowy „ojciec“ mój, według swego zwyczaju, zaczyna drzeć. By go zachęcić, uczyniłem to samo, a widząc, iż usnął na dobre, wymknąłem się cicho jak wąż i zażyłem moje lekarstwo przeciw truciznie. By lepiej i prędzej działało, piłem chciwie wodę, wskutek czego pozbyłem się prędko odurzającego narkotyku, który mi dano zażywać.

Nie uwolniłem się jednak całkowicie od przykrych następstw. Stary naczelnik, uważając mnie za istotę pozbawioną już rozumu i jakby za zwierzę, nadużywał w okropny sposób mojej cierpliwości. Musiałem czynić nadludzkie wysilenia i silić się ustawicznie, by się wydać tym, kim nie byłem, aby się nie narazić na powtórne zatrucie.

To też przez cały rok, jaki przebywałem w tej straszliwej osadzie, byłem przeciążony pracą, znosiłem bicie i najgorsze tortury, jak za najsmutniejszych czasów w Lisboi.

Przebywszy tam wpośród niewymownych cierpień i przykrości, spodziewałem się polepszenia losu, lecz pan mój ożenił się po raz drugi i według tamtejszego zwyczaju, dał mię jako opłatę za żonę między innymi rzeczami krewnym jej, którzy mię sprzedali nowemu panu za baryłkę wódki.

Ten, nazwiskiem Otoba, był słynnym czarownikiem. Pomimo, iż był okrutnym i bez litości, nie miałem powodu skarżyć się na niego. Wtajemniczył mnie w handlowe swoje stosunki i zlecił mi gromadzenie produktów krajowych. Podróżowałem po całym kraju *Mudach*, po wybrzeżach wszystkich tamtejszych rzek, zbierając heban, kauczuk i kość słoniową, którą sprzedawano następnie pewnemu domowi angielskiemu.

Po kilku miesiącach takiego życia, Otoba zachorował ciężko i umarł. Położenie moje było przez to bardzo niebezpieczne. Wiedziałem dobrze, że będą dochodzili, kto był winnym tej śmierci, i że jako niewolnik, byłem z góry upatrzony na ofiarę, na którą miała spaść cała odpowiedzialność. Więc też, gdym ujrzał, jak inny czarownik, mierząc mię wzrokiem, rzucał na mnie pełne wściekłości spojrzenia, zdrętwiałem cały i czułem, iż źle będzie ze mną.

Gdy noc zapadła, wszyscy mieszkańcy wsi zgromadzili się na ceremonię *próby* do obszernej szopy, nakrytej umyślnie na ten cel liśćmi bananowemi.

Po kilku uderzeniach w *tamtam* i odśpiewaniu kilku smutnych i ponurych pieśni, przystąpił czarownik do rozpoczęcia swoich czynności. Miał przed sobą stare zwierciadło, wyszczerbione, którego zawsze używał w celu dowiedzenia się o przeszłości i przyszłości. Wpatrywał się długo i nieruchomo w głąb zwierciadła, przemawiał niezrozumiałym językiem do kogoś, którego miał niby tam widzieć i odpowiadał mu.

Po znacznym przeciągu czasu, poświęconym na te niedorzeczne komedye, zawołał:

— Widzę go wreszcie.. przybywa zdaleka... postać jego jest jeszcze niewyraźna... zbliża się już, poznaję go... Ach, — zbrodniarzu, mam cię, nie umkniesz mi teraz!...

Wzrokiem pełnym nienawiści powiódł dokoła izby i dodał:

— Winowajca, który się ukazał w tem zwierciadle, znajduje się między nami. Nie wymienię go jeszcze po tej pierwszej próbie, pozostawiam to Duchowi... Niech oznaczy go publicznie. Niechaj wolni staną razem, a niewolnicy razem!

Gdy się w ten sposób ustawiono, wybrał czarownik ze swego zbioru fetyszów małą, mocno obwiązaną paczkę, otworzył ją, wyjął zawartość jej i zwracając się do obecnych:

— Oto — powiedział — znak, po którym dojdę winowajcy; obejmę izbę w koło, pocierając ręce jedną o drugą. Rodzina, przed którą nie będę mógł rozłączyć rąk od siebie, będzie tą, w której znajduje się zbrodniarz.

Po tych słowach rozpoczął natychmiast doświadczenie. Za pierwszym razem nic nie odkrył.

Materya kleista, którą pomazał ręce, nie była zapewne dosyć mocną.

Nie zmieszany tem wcale, rozpoczął próbę tę na nowo i chodząc bardzo prędko, zatrzymał się przed grupą niewolników:

— Winny jest między wami! — wygłosił poważnym, grobowym głosem.

Poczem odwrócił się szybko i nie dając nikomu czasu do sprawdzenia tego mniemanego cudu, dmuchnął na ręce, które rozlepiły się w sposób niby czarodziejski.

Teraz kazał niewolnikom ustawić się w jednym rzędzie i przystąpił do próby stanowczej. Przechodził z wolna koło każdego z nas, zacierając ręce. Przechodząc koło mnie, uśmiechnął się zlekka, ale nienawistnie i ironicznie. Zadrżałem.

Każdy zauważył moje pomieszenie, wszystkich oczy zwróciły się na mnie.

Czarownik przeszedł raz jeszcze; drżałem na całym ciele, w oczach mi pociemniało i omal nie zemdlałem, gdy grzmącym głosem dodał:

— To ty, nikczemniku! spojrzij na moje ręce! Duch wskazał cię po raz drugi!...

Na te słowa niewolnicy rzucili się na mnie i skrępowali mnie okrutnie. Zdaje się, iż chcieli na mnie powetować ów kwadrans strasznego niepokoju, jaki sami przeszli. Przywiązano mię do słupa i każdy oddalał się, złorzecząc mi.

Nazajutrz rano, powrócił czarownik z kilku starcami.

— Chociaż jesteś niewolnikiem — odezwał się do mnie — pozwalam ci oczyścić się przez próbę ognia.

Był to nowy rodzaj męki dla mnie.

— Zemsta — zawołałem — pobudza cię do potępienia mię i chęć pozbycia się rywala! Wiem, że próba ta wypadnie na moją niekorzyść i nie chcę się jej poddać. Dokończ swego dzieła, dobij mię jak najprędzej!

Pomimo, iż się wzbraniałem, przyniesiono ogień i dwie szable. Gdy się rozpałyły do czerwoności, czarownik potarł prawą swoją nogę oraz i moją, klejem, którego już raz użył przy pierwszej próbie, poczem wziął szablę i przyłożył ją do gołej nogi.

— Patrzcie! nic mi się nie stało! — powiedział do starców, — nie sparzyłem się.

Wziął drugą szablę i przytknął ją do mej nogi. Krzyknąłem z bólu i zemdlałem. Rozpalone żelazo spaliło mi ciało i obnażyło aż do do kości!...

Jak to być mogło, iż rozpalona do czerwoności szabla, przyłożona do gołej nogi czarownika, nie sprawiła mu żadnego bólu, podczas gdy

ja poparzyłem się w okropny sposób? Tajemnica czy kuglarstwo?... Być może, przed ową próbą, nałożył sobie na nogę kilka warstw kleju, a ten po stwardnieniu utworzył warstwę zbyt grubą, by ogień mógł ją stopić od razu.

— To już nie podlega żadnej wątpliwości—odezwał się czarownik. Simbaloba jest prawdziwym winowajcą. Duch wskazał nam go trzykrotnie; musi umrzeć i to śmiercią niewolników.

Każdy z owych sędziów badał mię raz jeszcze, poczem każdy oświadczył, iż muszę umrzeć śmiercią niewolników, to jest przez spalanie.

Czarownik wezwał dwóch swoich pomocników i kazał mi iść na przód i przygotować stos, sam zaś miał później nadejść. Niewolnicy wrzucili mię do czółna i zawieźli na odległe puste wybrzeże.

W południe stos był już ułożony, a czarownik jeszcze nie przybywał. Niewolnicy zaczęli się już niecierpliwić. Godziny upływały szybko, słońce schodziło z wolna z horyzontu, a czarownika, jak nie było, tak nie było. Niewolnicy, którzy jeszcze nic nie jedli, postanowili iść na przeciw swojego pana, by się dowiedzieć, co się z nim stało; nim atoli odeszli, chcieli podpalić stos, lecz bali się, by się czarownik nie gniewał i zaniechali tego. Przywiązali mię tedy do drzewa, upewniwszy się przedtem, czy więzy na nogach i rękach nie rozluźniły się przypadkiem.

Jak tylko się oddalili, zabrałem się do roboty i skurczony we dwoje, gryzłem włókno po włóknie sznur, który mi ścisnął ręce. Robota postępowała bardzo powoli, ale skutecznie. Przegryzłem już połowę sznura, gdy wtem usłyszałem śpiew wioślarzy, którzy zapewne powracali z czarownikiem. Wtedy opanowała mię straszna rozpacz, czułem, iż wszystko było straconem i przeklinałem dzień, w którym na świat przyszedłem!...

Jednakowoż zrobiłem jeszcze ostatnie wysilenie. Niebezpieczeństwo dodało mi sił nadludzkich i szarpnąwszy nadgryzionym sznurem, przerwałem go szczęśliwie. Mając obie ręce wolne, rozwiązałem węzły, któremi byłem przywiązany do drzewa, następnie te, które mi krępowały nogi, i w chwili, gdy dręczyciele moi nadbiegli, byłem już daleko w lesie bagnistym.

Grunť z początku błotnisty, stawał się w miarę, jak się dalej zapuszczałem, coraz miększym i ruchomym, i wkrótce brodziłem w wodzie. Noc przepędziłem na gałęzi drzewa.

Nazajutrz o wczesnej godzinie puściłem się w dalszą drogę i wkrótce przybyłem nad rzekę. Już zabierałem się przebyć ją wpław, gdy usłyszałem szelest łódki zbliżającej się w tę stronę. Wszedłem na drzewo i rozchyliwszy gałęzie, patrzyłem, kto jest tym tak wczesnym

podróżnym. Jakże się przestraszyłem, widząc przed sobą piekielnego mego prześladowcę, czarownika, który trzymał strzelbę i gotów był dać z niej ognia!

Na ten widok opuściła mię odwaga i przytomność, puściłem gałąź na której siedziałem i wpadłem w wodę. W tej samej chwili czarownik wystrzelił; słyszałem świst kuli przelatującej mi nad głową. Gdym przyszedł do siebie, piekielne to widzenie zniknęło. Co się stało?...



Murzyn-niewolnik szuka schronienia w misyi katolickiej.

Oto, wyszedłszy ze wsi wieczorem po sutych libacyach, czarownik zmylił sobie zapewne drogę i widząc, ale po niewczasie, iż zbłądził, przepędził noc w swej łódce. Gdy rano chciał się udać w drogę, usłyszał zapewne szelest, jaki uczyniłem siedząc na drzewie, i myśląc, że to może małpa lub kaiman, wystrzelił na oślep, a nie widząc nic, popłynął dalej.

Uniknąwszy takiego strasznego niebezpieczeństwa, wszedłem znów w wodę i postępowałem wzdłuż rzeki, której brzegi zwykle bagniste, stały teraz pod wodą. Na szczęście woda opadała szybko i po całodziennym bardzo nurzącym marszu, przyszedłem do pewnej wioski.

Niepokoilią mię bardzo myśl, jak mię tam przyjmą, ale bądź co bądź nabrałem odwagi i wszedłem do wsi. Zdziwiło to wprawdzie wszystkich, iż przybyłem bez czółna, lecz gdy im opowiedziałem, że uciekłem przed ludożerczymi Pahuinami i błąkałem się przez dwa dni po lasach i moczarach, przestali się dziwić i ulitowali nade mną. Dano mi jeść, pewna stara kobieta opatrzyła mi ranę, którą sobie zrobiłem na nodze, a kilku młodych ludzi zaprowadziło mię na drogę, którą mogłem się dostać nad morze.

Byłem więc wolny, i pomimo że rana w nodze srodze mi dokuczała, szedłem ciągle i przyszedłem do twojej chaty, misyonarzu, który, jak się spodziewam, weźmiesz mię w opiekę.

*

*

*

Na tem skończyło się opowiadanie niewolnika. Ostatnie jego słowa:

— Misyonarzu, weźmiesz mię w opiekę! — nie mogły przebrzmieć bez skutku.

Odpowiedziałem mu, iż zrobię, co tylko będzie w mej mocy, aby go odesłać do Gabonu, gdzie nasz zarząd misyjny wyrobi mu wolność, co też nastąpiło istotnie w dni kilka.

Simbaloba z wielką chęcią i łatwością uczył się pierwszych zasad świętej naszej wiary; serce jego szczere i proste, jak u dziecka, zachwycało się Boską nauką Chrystusa Pana i w dwa miesiące później, z nie-dającą się opisać radością przyjął Chrzest święty.

Dzisiaj Simbaloba osiadł w chrześcijańskim miasteczku Świętej Anny. Zbudował tam sobie ładniutką chatkę z bambusu i wykarczował znaczny obszar ziemi na uprawę.

Wszyscy go tam znają; jestto zdolny i niestrudzony robotnik, nieustraszony strzelec, serdeczny przyjaciel, usłużny sąsiad, a co najważniejsza — dobry chrześcijanin.

(D. c. n.)



Historya illustrowana Kościoła Świętego RZYMSKO - KATOLICKIEGO w obrazach i życiorysach.

Obraz XIII.

„Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy“

Jest to przez A. E. Odyńca, utalentowanego poetę, druha Adama Mickiewicza skreślony obraz wiary, pobożności i stałości chrześcijańskiej. Podajemy co najpiękniejsze wyjątki z tego natchnionego utworu ku pożytkowi duchowemu naszych czytelników.

SCENA XXV.

(Forum. Kilku obywateli stoją przed krużgankiem świątyni Feba. — W głębi lud.)

Obywatel pierwszy.

Widziałeś kiedy tyle ludu razem?

Obywatel drugi.

Nigdy, jak żyję.

Obywatel trzeci (patrzac w prawą stronę).

Patrz Centuryona!

Patrz! jak z kohortą, z dobytem żelazem,

Roztrąca ciżbę, co nieporuszona
Jak głaz, choć głowy jak morze ruchome.

Obywatel drugi.

Nie dziw! kto kocha swych Bogów i Rome,
Rad widzieć karę ich wrogów.

Obywatel pierwszy.

A wreszcie
I niebezpiecznie chciałoby zostać w mieście.
Z posądem ludu nie żart, ani z wiarą.
A już być lepiej widzem, niż ofiarą.

Obywatel czwarty (wpada zadyszany).

Uf!

Obywatel trzeci.

Skąd tak z pędem?

Obywatel czwarty

Jak z paszczy hyeny!...
Chciałem do cyrku; — gdzie tam! chyba ptakiem.
A i tak chyba musiałbym sięść na kim.
Miejsca nie pytaj. Od samej areny,
Na wszystkich ławach, w krąg i aż do szczytu,
Lud jak mur — włóczni nie wbijesz; od świtu
Wszystkie przystępy zapchane już tłuszcza.
A wrzawa! ryku lwów nie znać, choć ryczą
Na całe gardło: — nie tak za zdobyczą,
Jak pewnie ze strachu; — i gdy je wypuszczą,
Gotowe uciec jak ja. — Ledwie żyję!

Obywatel trzeci.

A stos gdzie? w cyrku?

Obywatel czwarty.

Nie! stos w hippodromie.
Ale tam nawet wiatr się nie przebije.

Obywatel drugi.

Kartago jednak dowiodło widomie
Czci swej ku bogom; a ten zapał ludu
Milszy im pewnie, niż ogień ofiarny.

SCENA XXVI.

Ciż i Pomponiusz z żołnierzami wchodzi.

Pomponiusz (do żołnierzy).

Prokonsul tędy przybędzie; nikomu
Nie dać zajmować drogi. Przed tron znamię!

(Część żołnierzy odłącza się od kohorty i szykuje się od wskazanej strony. Niosący orła staje obok kurulnego krzesła.)

Pomponiusz (do pozostałych).

Wy, dalej, naprzód! Od bram hippodromu,
W dwa zwarte rzędy, ku Scylickiej bramie
Stańcie ulicą; i biada śmiałkowi,
Coby chciał w środek:—w pierś włócznieą każdemu!
Prokonsul kazał. Za ich krew, ja jemu,
Za słabość, mnie z was każdy krwią odpowie.

(odchodzi z resztą żołnierzy.)

Obywatel pierwszy.

Patrz go! jak srogi!

Obywatel czwarty (sam do siebie).

Ku Scylickiej bramie!...

(uderzając się zlekka w czoło).

Eh! eh! mój domysł nie zawsze mi kłamie.
Tam stos!... tam zaraz step!... tam jego żona!...
He! jak na dłoni plan Centuryona.
Lecz idę — (chce iść i zatrzymuje się nagle).

Dokąd? po co? nie bądź głupi!

Stój! a nuż wszystko na tobie się skrupi? —
Mądry naukę znajdzie i w Midasie,
Że mówić czasem, milczeć zawsze zda się.

Obywatel drugi (patrząc w stronę).

Patrz! patrz! kapłani niosą swoje bogi.
O! co za orszak! kapłanki Cybeli
Całe w zieleni; chór westalek w bieli,
Dalej bogowie. — Jak się 'im lud z drogi
Usuwa ze czcيا! — Jowisz, Neptun, Pluto,
Mars!...

Obywatel pierwszy.

A ten obok?

Obywatel trzeci.

To ojciec cesarzów,
Nowy Bóg, Sewer!

Obywatel pierwszy.

Znać go świeżo kuto,
• Tak cały jasny.

Obywatel czwarty (z przekąsem).

Cóż nie wart ołtarzów?

Obywatel drugi (z oburzeniem).

Błżniesz, czy szczerze mówisz?

Obywatel czwarty.

Nikt nie błżni
Dzieu rąk swoich. Jam go sam kuł w kuźni!

SCENA XXVII.

(Kapłani i kapłanki wchodzą, niosąc posągi bożyszcz porządku
i ustawiają je przed świątynią).

Obywatel trzeci (patrząc w stronę).

Ha! ot, i orszak Feba i Dyany
Wyszedł z świątyni.

Obywatel pierwszy.

Jakże idą smutnie!
Zwieszono czoła, każdy zadumany...

Obywatel trzeci.

Patrz, patrz! cyprysem uwieńczone lutnie.
(Wchodzą kapłani Feba i kapłanki Dyany, niosąc także posągi
swych bożyszcz i stawiają je obok innych).

Obywatel pierwszy.

Arcykapłana nie obaczym pewnie.

Obywatel drugi.

Czemu?

Obywatel pierwszy.

Czyż nie wiesz? Wszakże jego córa
Staje przed sądem.

Obywatel trzeci.

Żal mi go rzewnie...
Nieszczęsny starzec!

Obywatel drugi.

Owszem, toż jest pora,
By dowiódł czynem, co wczoraj słyszałem,
Mówił kapłanom: że dla sprawy Nieba,
Człowieka w sobie zapomnieć im trzeba.

Obywatel czwarty.

O! to coś pachnie chrześcijańskim ształem!
Ale co mówić, to nie czynić. Póki
Słońce nam świeci, łatwo o piorunie
Rozprawiać mądrze i dawać nauki.
Lecz gdy i na nas chmura się nasunie,
Mądrość jak kamień w Letę!

Obywatel pierwszy.

(postrzegając wchodzącego arcykapłana).

Cicho! idzie!

(D. c. n.)

Sławni dostojnicy Kościoła.

W innem dziele, tenże Łukasz Górnicki mówi o Maciejowskim:

„Był to pan nie jedno senatorskiego koła, ale i biskupstwa największego godny. Nie wspominając urody jego pięknej i zacności domu; cnotą, rozumem wielkim, radą doskonałą, nauką, biegłością, czułością, miał przed niemałą liczbą pieczętarzów (kanclerzów), co przed nim byli, wyższość; a świętobliwością żywota był równy tym, których bez męczeństwa kanonizowano.“

Ksiądz Przerębski, proboszcz i administrator biskupstwa krakowskiego, zarządca kancelaryi królewskiej, oddając po śmierci Maciejowskiego królowi pieczęć, taką o zmarłym dostojniku wypowiedział mowę:

„Pewniśmy tego, miłościwy królu, iż Wasza Królewska Mość nie z pociechą tego używasz, iż Bóg Wszechmogący pozbawił Waszą Królewską Mość dobrego sługi i godnego senatora. Doznałeś Wasza Królewska Mość cnoty, wiary i dobrych obyczajów jego, doznałeś mądrości, doznałeś biegłości o rzeczach wielkich. A jako wiele zależy wielkim królom na mądrych senatorach, doświadczyli tego przodkowie Waszej Królewskiej Mości, ale i Wasza Królewska Mość doświadczasz bardziej i doświadczać będziesz. Oboje był odzierzżył ksiądz Maciejowski, iż i mądrością dobrze był usadził obyczaje, i obyczajami mądrość ozdobił. Urząd zowie ten pieczętarski, jeżeli potrzebuje godnego, mądrego i biegłego człowieka, tedy daleko więcej nie chciwego. Nie wspominać, jakie szkody koronie nieść mogą z chciwego pieczętarza, lecz to powiadam, iż taki pieczętarz sługą dobrym Waszej Królewskiej Mości być nie może. Co bacząc ksiądz Maciejowski, chciwym bogactw nigdy nie był; chciwym był sławy Waszej Królewskiej Mości, sławy tej korony, na co hojnie wydawał. A będąc od Waszej Królewskiej Mości uraczony wysokiem i bogatym biskupstwem, rozumiał się być szafa-

rzem, a nie panem tego; a co insi kupują imiona przyjaciółom za dochody z urzędu, to ten biskup częścią na wspomaganie ubogich dochody te wydawał, a zagona jednego przyjaciółom nie kupił. Gdzież teraz ci, Miłościwy Królu, którzy zajrzeli mu łaski Waszej Królewskiej Mości? Izaż on jej źle używał? Zaż komu nią zaszkodził? Zaż kiedy on o kim źle mówił? A zgoda kto kiedy od niego uszczypliwe słyszał słowo? Nieprzyjacioły (choć nieprzyjaźni nie był godzien) miłował swoje, a te nieprzyjaźni rosły stąd, iż cnotliwie Waszej Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej służył, na żadną rzecz się nie oglądając. Nie bawiły go na stronie folwarki ani stacye, ale ustawicznie on przy boku był Waszej Królewskiej Mości z wielkim kosztem swoim, a dwór chowając taki, którymby każdemu niebezpieczeństwu koronnemu, śnać większym dostatkim, niżby na jego część senatorską przyszło, zabiegać mógł. Dasz Wasza Królewska Mość świadectwo, jako święty pan, o tem, że moja w tej mierze mowa z prawdą się zgadza. Gdyby był folgował czasowi swemu, a nie posługom Waszej Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej, żyłby był jeszcze lat wiele; lecz prace, troski, kłopoty, te go na on świat posłały. Jednak on przecie nie przykrzył sobie żadnej pracy, jeśli ku dobru Rzeczypospolitej zmierzała. Milsza mu zawsze była Rzeczpospolita, dobro Waszej Królewskiej Mości, niżli jego własny żywot. I tem sercem dokonał tego nędznego żywota, w którym się nie kochał nigdy dla siebie. Owszem, zawżdy umierać się uczył, lecz tego życzył sobie, iżby mógł najdłużej służyć z nami wszystkimi pospołu Waszej Królewskiej Mości, panu naszemu, któremu my teraz, podług ostatniej woli nieboszczykowej, tę pieczęć, która jemu była od ojca Waszej Królewskiej Mości, a potem i od Waszej Królewskiej Mości samego powierzona (którą on tak przystojnie szafował, iż na onym ostatnim sądzie stanie czystym a jasnym przed Panem Bogiem), Waszej Królewskiej Mości, panu naszemu miłociwemu oddajemy, prosząc pokornie przytem, której łasce chował się zmarłego przełożonego naszego, iżbyś nas, osierociałe po tak cnotliwym panie służy, chować raczył.“

Znamienitego męża wprowadził Kraszewski do powieści swojej „Dwie Królowe.“ Maciejowski odtworzony jest w tem pięknym dziele jak żywy. Widzimy go broniącego króla Zygmunta Starego przeciwko intrygom Bony, przewrotnej Włoszki, małżonki króla. Oto ustępy z rzeczzonej powieści:

Na zamku królewskim, który podówczas ciągle jeszcze odnawiano i przyozdabiano, ku czemu też z Włoch mnogich ściągano kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, — nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić. Znaczna część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która

dla siebie ludzi wiele potrzebowała, a w miarę jak jej wpływ rósł, około Zygmunta stawało się puściej coraz, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posiłkować nimi musiał, na mieście szukali kwater u dostojniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradcę pańskiego, biskupa Maciejowskiego los ten spotkał, że na zamku gościem bywał tylko, choć tu jego kancelarye się mieściły. Może też dostojny mąż ów rad był temu, że choć przez chwilę jedną dnia swobodniej, szpiegów, oczu i uszu niechętnych nie lękając się, mógł odetchnąć a z przyjaciół swymi się naradzić i spocząć.

Smutne zaprawdę było położenie tych niewielu doradców króla starego, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojenstwa ratując, całemu wojsku licznemu, nieprzebierającemu w środkach, zauszniaków Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą walka się stawała, a rycerzy do niej brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały. Król z każdym dniem starzał się i stawał słabszym.

Naprzeciw Maciejowskiego, ze spokojem, męstwem i powagą wiodącego bój z królową, stał Gamrat. Przy nim gromadziło się wszystko, co służyło Włoszce (Bonie); przy Maciejowskim i Tarnowskim, hetmanie ~~wszystko~~, co wiernem pozostało królowi.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do ustronia swego nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprawdzie na zewnątrz od innych nie różniła się wielce, ani od nich była piękniejszą, lecz wszedłszy wewnątrz, łącno się poznawało mieszkanie człowieka, który wykwintnego nabył smaku, długim zagranicą, szczególniej we Włoszech, pobytem.

Bo stosunki ówczesne Polski z Włochami były tak ścisłe, jakby ich wielkie nie dzieliły przestrzenie. Małżeństwo Zygmunta z Włoszką, Boną Sforzia, ożywiło je, lecz ono też było skutkiem bardzo dawnych i nieustannych Polski z Włochami związków. Mało który z naszych ówczesnych dostojników Kościoła, profesorów akademii, panów, wodzów, nie uczył się we Włoszech. Nie było miesiąca w roku, aby ktoś z Krakowa nie został wysłany do Rzymu lub stamtąd nie wrócił. Roila się młodzież nasza w Padwie i Bononii. Uczyli się tam i katedry zajmowali Polacy.

Podkanclerzy Maciejowski liczny — dla samych spraw, które się w jego kancelaryi gromadziły, — dwór młodzieży utrzymywać musiał. Stąd mieli wyjść ci, co później zasłynęli na najwyższych dostojenstwach; tu się młodzież wkładała do praktycznego życia.

Oprócz niej, do Maciejowskiego garnęło się wszystko, co z boleścią patrzyło na rządy Bony, na jej faworytów-cudzoziemców, bez miłosierdzia wysysających kraj. Tu, jeżeli radzić nie było można, to chociaż

zaboleć otwarcie było wolno. A bolano tem więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowañcem królowej niż króla, Włochów niż Polaków, fraucymeru Bony, niż rycerzy z pod Obertyna.

Liczny szereg izb na pierwszym piętrze składał biskupa Samuela mieszkanie, gdy na dole dwór i służba się ścisnęła, jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc. Nie było przepychu około biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił; ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku Włoskiego pędzla obrazy, włoskie marmury i bronzy, flamandzkie opony, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty człowiek niebardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Po izbach tych przechadzał się biskup Samuel, wróciwszy od króla. Piękną miał duszę i postać piękną. Była ta postać jego pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszenia, miła oczom, choć się o to nie starał. Wiek niewiele ją potrafił nadwyreżyć. Rysy oblicza zachowywały się tym spokojem mężnym duszy, który daje spokój sumienia i wiarę w cel żywota. Maciejowski widział ten cel przed sobą w służbie Kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Tomicki i Maciejowski na kartach dziejów złotemi głoskami się zapisali. Jaśnieją oni na tle wieku Zygmuntów jak gwiazdy o blaskach świetnych. Blaski owe — to ich zasługi niepożyte. Rozpraszają one mgłę stuleci i opromieniają mogiły wawelskie, w których spoczywają ci dwaj dobrzy doradcy Zygmuntów.

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XIX.

Tylko sobie znanymi ścieżkami i rowami prowadziła stara Konstancya Zapałę, pomagając mu dźwigać omdlałego Grzesia.

— Bóg czuwa nad wami, poczciwi ludzie — mówiła starowina — żeście mnie spotkali... Któżby wam wskazał wśród nocy drogę do klasztoru przez wały i fosy?... Toćby was ludzie klasztorni mogli byli wziąć za Szwedów i z ognistej broni porazić kulami... Bóg was ustrzegł!...

Ale Zapała nie odpowiadał nic, gdyż ogromna bojaźń o życie Grzesia przejęła jego serce.

Szli drogą kamienistą, wśród przekopów, aż nagle rozległ się głos z góry.

— Kto idzie?

— To straż woła! — szepnęła Konstancya, poczem zaczęła nucić pieśń do Matki Boskiej.

— To wy, Konstancyo? — pytał głos znowu.

— Jam jest... prowadzę z sobą dwóch żołnierzy...

— Co zaś mówicie?... Skądżeby się tu wzięli żołnierze?... Może szpiedzy?...

— Jako żywo nie!... Matka Boska nam ich przysyła!... Toć jeden z nich Grześ Brzuchański, syn pana Jacka od Ś-ej Barbary...

— Na Bóg miły!... coście rzekli?... Grześ!?... A toć go znam...



Kompania z parafii Przasnysz, diecezji Płockiej, pod przewodnictwem swoich pasterzy, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego“.

Był to głos imć pana Zaremby z Mokreszy, który dnia tego miał straż na wałach zachodnich.

Poznał on Grzesia u księdza przeora, gdy tenże, jak zwykle prze-zorny, posyłał tego młodzieńca do Krakowa, w celu dowiedzenia się, jak sobie tam Szwedzi poczynają.

— A to dziw nad dziwy!.. — mówił pan Zaremba — toć myśmy go tu mieli już za straconego!

— Ranny jest! — rzekła żebraczka.

Dalszą rozmowę przerwał nagły huk dział od strony szwedzkiej i niemniej gwałtowny z murów jasnogórskich.

W ten sposób Szwedzi nie pozwalali ani na godzinę spocząć załódze, wyczerpując jej siły na nieustanne czuwanie.

Konstancya przyspieszyła kroku, podtrzymując zmarzniętymi rękoma opadającą bezwładnie głowę Grzesia.

— Daleko jeszcze do biam klasztoru? — pytał Zapała, czując się z sił wyczerpanym.

— Jesteśmy w pobliżu tajemnego wejścia — odrzekła Konstancya — zaraz będziemy w klasztorze...

Jakoż weszli w ciemną szyję głębokiej fosi, poczem natrafiwszy na niski otwór, zaczęli po oślizgłych schodach kamiennych schodzić w podziemia forteczne.

Żebraczka z cicha nuciła pieśń do Matki Boskiej, aż nagle umilkła, gdyż w głębi lochu zabłysło światło.

— Kto idzie? — dał się słyszeć głos straży.

— Konstancya, a z nią żołnierze — słudzy Maryi! — odrzekła.

— Dajcie nam pomoc! — zawołał Zapała, który jakkolwiek niepospolita obdarzony siłą, jednak upadał ze znużenia, dźwigając Grzesia.

Światło w głębi lochu zamigotało i zgasło, ale po chwili zabłysło znowu, lecz już nie jedno, tylko kilka.

— Pomoc idziel — szepnęła Konstancya i przystanąła, gdyż i ona uczuła zmęczenie, podtrzymując dość długo rannego.

Światło coraz jaśniejsze napępniało podziemie, aż w niem zamajaczyły jakieś zbrojne postacie.

Był to sam pan Piotr Czarniecki, jeden z głośnych obrońców Jasnej Góry.

Uwiadomiony o zjawieniu się jakichś żołnierzy w obrębie obwarowań klasztornych, biegł szybko, aby się przekonać, kto od szwedzkiej strony przybywał, czegoby chciał, a żali nie podstęp to był jakowys ze strony nieprzebiegającego w środkach wroga.

To też pierwszy przypađł do Zapały, dźwigającego wciąż w swych ramionach omdłego Grzesia, i podniósł do góry łuczywo, ażeby móż lepiej zobaczyć, kto idzie i jak wygląda.

Atoli zaledwie niespokojny wzrok jego spotkał się z smutnemi oczyma Zapały, gdy zajaśniała radością.

— Na miły Bóg, chyba mnie oczy nie mylą?... Tyś jest Piotr Zapała, któryś mi życie ocalił pod Czerwonym Jarem...

Zapała popatrzył zdumiony na pytającego i odrzekł:

— Cud wielki... Opatrzność Boża dla mnie to spotkanie! — Wdzięczną macie pamięć, miłościwy panie! Jam to jest, com wam życie ocalił od tatarskiej czerni. Ale nie dziw, boć mam przed sobą rycerza, jakich mało w Rzeczypospolitej...

A pan Czarniecki, jako stał, tak chciał chwycić dzielnego żołnierza w swe ramiona, bo istotnie serce miał szlachetne i wdzięczne, jak mało kto, jeno się powstrzymał, widząc, że Zapała dźwiga ciężar nieład.

— Hejże! — zawołał na towarzyszących mu żołnierzy — weźcie rannego z objęć tego dzielnego żołnierza i tej pocziwej staruszki.

Szybko spełniono ten rozkaz, a pan Czarniecki dalej rozkazywał:

— Zanieść rannego do celi szpitalnej... medyk klasztorny opatrzy jego rany.

— To Grześ Brzuchański, młodzian godny, który wiele przysług wyświadczył temu świętemu miejscu — mówił Zapała, z trwogą spoglądając w pobladłe lica rannego druha. — Wiedźcie, wasza miłość, że ten młodzieńczyk wysadził prochami okrutną wieżę-taran, którą z takim móżołem do jutrzejszego szturmego Szwedzi przygotowali...

— Przez Bóg żywy! — zawołał pan Czarniecki — a toć to nieład rycerz!... Wielki Boże! toć i ojca jego pono Szwedzi na tortury wzięli?...

— Tak ci jest, miłościwy panie! — potwierdził Zapała.

A gdy żołnierze klasztorni, świecąc sobie pochodniami, ostrożnie unosili z podziemia nieszczęsnego Grzesia, pan Czarniecki zaczął szybko wypytывать Zapałę, w jaki sposób losy pozwoliły mu przedrzeć się szczęśliwie po przez żelazny pierścień armii szwedzkiej, opasującej klasztor i dostać się do obłożonych.

Ten zaczął opowiadać, lecz nagle zachwiał się na nogach i runął na skalisty grunt podziemia.

Jakkolwiek żelazne miał siły, lecz wyczerpały się w tę noc dlań straszliwą.

— Matko Najświętsza, ratuj go! — krzyknęła przerażona Konstancya.

— Omdlał! — szepnął pan Czarniecki, pochylając się nad leżącym, z sił wyczerpanym żołnierzem, poczem ukląkł przy nim, zaczął trzeć mu skronie śniegiem, którego tu sporo wiatr namiótł.

Po chwili Zapała otworzył oczy i westchnął głęboko, co widząc pan Czarniecki, dał mu wino z srebrnej blaszanki, którą miał przy so-

bie i nie wypytując już o nic, rozkazał zaprowadzić do ciepłej izby, aby odpoczął i sił nabrał.

— Okazujcie mu wszelką pomoc, jakoby mojemu krewnemu — mówił do służby — toć on mnie od zbójckiej szabli tatarskiej ocalił... niechybnej śmierci z rąk wyrwał, ojczyźnie, żonie i dzieciom powrócił...

ROZDZIAŁ XX.

Dzień jaśniał na wschodzie, gdy coraz głośniej zaczęły działa grzmieć, tak z wałów jasnogórskich, jako też od strony oblegających. Zapowiadała się gorąca walka, jedna z tych, podczas których wydawało się, że cały klasztor chwiał się, drżał, a cała góra, na której się wznosił, gotowa była rozstąpić się, rozpaść i wszystko, co się na niej znajdowało, pochłonąć.

Na posłaniu ze słomy, w jednej z wolnych izb zbrojowni, leżał, jak martwy, ranny Grześ Brzuchański, a przy nim czuwał Zapała, który zwolna odzyskiwał siły.

Naraz drzwi się otworzyły i ukazał się w nich pan Jan Skórzewski, a przy nim jeden z księży Paulinów.

Ujrawszy rannego, leżącego bez ruchu, z ciemnymi plamami krwi na ubraniu, pan Skórzewski pochwycił się za głowę.

— Na rany Chrystusa Pana, czy aby nie zmarł ten młodzieńczyk!...

— Żyje — odparł Zapała, usiłując powstać, lecz siły nie pozwoliły mu jeszcze na to.

— Bóg łaskaw, że żyje!... Toć takich, jak on niewieluby znalazł... Ojcie Pawle, opatrzenie jego rany, jakobyście moje opatrywali... On sprawił, że wieża-taran spłonęła...

— On ci to zdziałał, jako Bóg na niebie! — mówił Zapała. — Dużo mi o nim dobrego opowiedział ksiądz przeor... Zacny to młodzian...

Tymczasem ojciec Paweł pochylił się nad Grzesiem, rozpiął odzież na jego piersiach i zaczął badać rany.

— Cud, że żyje — mruzczał, zawijając rękawy, ażeby mu przy opatrunku nie przeszkadzały — okrutnie okaleczony... Widać żagwie płonące nań spadły i srodze opaliły. Duże rany na piersiach, bokach i ramionach... Jeno te na ramionach już przyschły, jakby zagojone... zaś na piersiach świeże są, okrutnie niebezpieczne...

— Na ramionach ma znaki od katuszy, którą mu zadał łotrzyk jeden i to nieladajaki — nazwiskiem Zaklika — tłumaczył Zapała — ten łotrzyk gorszy od samego dyabła, porwał był przezacne panie Janowickie i katować chciał, zgubić z duszą i ciałem.

— Panie Janowickie! — zawołał pan Skórzewski — a toć znam!... Święte po prawdzie niewiasty... Z Janówka, prawda?...

— Z Janówka!...

— Z pod Złotego Potoka...

— Tak Grześ mówił, bo ja tych stron nie znam...

— I on te niewiasty ratował?...

— I uratował, a wraz z niemi i starego księdza proboszcza z Janówka...

— Księdza proboszcza z Janówka — powtórzył ojciec Paweł — a toć mi on, jako brat drugi...

— Katować go, nad siwą głową kapłańską znęcać się chciał ów obwieś Zaklika...

— Na miły Bóg — zawołał pan Skórzewski — podziw budzi ten młodzian... Zda się nie do uwierzenia, co zdrał...

A ojciec Paweł dodał:

— I cóż się dziwicie?... A Goliat i Dawid?... Wszystko Bóg może, gdy godne ręce chcą święte jego przykazania wypełniać...

Umilkł i po chwili na pachotków zawołał, aby mu wody i szmat lnianych do opatrunku przynieśli.

Zaś pan Skórzewski podparł się na szabli i hamując wzruszenie, patrzył na bladą jako opłatek twarz Grzesia, na skrwawione jego piersi.

Tak ci to niegdyś, przed laty, patrzył na syna jedynaka, który pod Beresteczkiem raniony kulą w serce, skończył na pobojożywie.

— Cud, że żyje! — mruzczał ojciec Paweł — niebios opiekę widocznie sobie zjednał... Inyby dawno już ducha wyzionął...

Co słysząc, pan Skórzewski, jako porywczy był i do wszystkiego, co szlachetne zapalny, zaczął bić się w piersi i przysięgać:

— Ślubuję.. Matce Boskiej Częstochowskiej, która, widać za wielkie grzechy moje, nie pozwoliła jedynym synem się cieszyć, że jeśli ten młodzian do zdrowia wróci, a my ze szwedzkich szponów wyjdziemy cało, do klejnotu mego szlacheckiego przypuszczę go, do wszelkich dostojności i zaszczytów drogę otworzę... Tak mię, Matko Boża, usłysz i wspomóż!...

Gdy pan Skórzewski to mówił, przyciskając ręce do piersi, drzwi się cicho otworzyły i wszedł ks. przeor Kordecki. Spostrzegł go pierwszy Zapala i upadł na kolana.

A on popatrzył na leżącego wciąż, jak bez życia, Grzesia, złożył ręce i podniósłszy głowę, modlić się zaczął.

I zdarzyło się, że właśnie tej chwili promień złoty porannego słońca, przedarł się przez chmury i wpadł do zbrojowni przez wąskie okna, rzucając blask radosny dokoła.



Kompania z parafii Rokitno, gub. Kieleckiej, pod przewodnictwem swego pasterza, u stóp Jasnej-Góry.

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego.”



Tej też chwili udało się ojcu Pawłowi wrócić przytomność ran-nemu.

Otworzył oczy, ustami chwycił powietrza i poruszył rękoma.

Ksiądz Paweł wlał mu w usta kilka kropel leków.

Ranny zdawał się na chwilę odzyskiwać przytomność, spostrzegł modlącego się księdza przeora i twarz bólem napiętnowaną rozpogodził.

— Nasi idą z pomocą — szepnął — król wraca!...

Co rzekłszy, znów pobił się śmiertelnie i omdlał.

— Umarł! — zawołał, chwytając się za głowę pan Skórzewski, lecz ojciec Paweł dał mu znak ręką, aby się uciszył i szeptem odrzekł:

— Nie umarł... żyje, jeno że to jego życie wisi na włosku...

A ksiądz przeor, modląc się, powtarzał słowa zasłyszane z ust ran-nego: — „Nasi idą z pomocą... król wraca“...

I znów utonął w modlitwie.

Wtem nazewnątrz huk ogromny rozległ się: Szwedzi szturm za-jadły przypuścili.

Kilka spłoszonych gołębi sfrunęło z wieży i dachów klasztornych i zataczając kręgi w powietrzu, wpadło do zbrojowni, aby się ukryć.

Ksiądz przeor pochwycił pana Skórzewskiego za rękę, i obaj wy-biegli na mury i wały, gdzie już wrzał bój straszliwy.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



Nowiny z Częstochowy.

Jego Ekscelencya ks. Stanisław Zdzitowiecki, biskup kujawsko-kaliski, przed świętami Bożego Narodzenia przybył na Jasną Górę w Częstochowie i tutaj odbył rekolekcyę, bawiąc dni kilka. Jego Ekscelencya ks. biskup z Jasnej-Góry podążył na uroczystości świąteczne do Włocławka.

Z okazji przywrócenia Przeorowi klasztoru Jasnogórskiego przywilejów opackich, nadanych przez Klemensa XIV. Sam wyraz opat pochodzi od łacińskiego abbas, ten zaś ostatni od wyrazu chaldejskiego אבא, wymawia się abba — co znaczy ojciec. Tytuł ten nadawano zwierzchnikom zakonnym po klasztorach, dawano go również wielkim pustelnikom, którzy gromadzili około siebie naśladowców swego życia pustelniczego, jak np. ś-mu Antoniemu, dla podniesienia powagi opatów, a przede wszystkim dla korzyści duchowej braci zakonnej i ludu, do ich kościołów przybywającego. Stolica Piotrowa od najdawniejszej starożytności obdarzała opatów różnymi przywilejami kościelnymi.

Już Honoryusz papież, który rządził Kościołem od r. 625 do r. 638, pozwolił opatowi klasztoru Bobieńskiego (monasterii Bobiensis) używać mitry i reszty ubioru biskupiego; zaś papież Teodor I potwierdził i rozszerzył te przywileje dnia 4 maja 643 r.

Ciągnie się w historii szereg niezliczony klasztorów i opatów, którym papieże mniejszych lub większych przywilejów (quasi) biskupich udzielają. Zaznaczyć jednak trzeba, że przywileje tego rodzaju otrzymują przełożeni zakonów starych (monachorum) nie zaś późniejszych.

Zakon OO. Paulinów, lubo bardzo stary, bo od świętego Pawła I Pustelnika początek wywodzi, utrzymał nazwę Przeorów generalnych — (Prior generalis) a nie opatów. Jednakże List Apostolski papieża Klemensa XIV z d. 23 lipca 1770 r., który Przeorom Generalnym udziela

obszernych przywilejów opackich, mówi najprzód, że ponieważ zakon Paulinów należy do grupy tych zakonów, których przełożeni mają sobie udzielone przywileje wzmiankowane, przeto i Przeorowi Generalnemu Paulinów i jego następcom na wieczne czasy tych przywilejów udziela. Miał ten przywilej i precedens; nie był on pierwszym dla przełożonego z tym tytułem, jeszcze Paweł V papież dnia 18 marca 1613 r. udzielił podobnego przywileju, mianowicie Przełożonemu Generalnemu zakonowi świętego Hieronima kongregacyi Lombardzkiej.

Jak wskazują akta klasztoru Jasnogórskiego, Przeor Generalny OO. Paulinów na mocy powyższego przywileju Klemensa XIV używał na dokumentach tytułu „Przeor Generalny zakonu Świętego Pawła i pustelnika Prałat Infulat“. Pisze o tem i Encyklopedia Kościelna (patrz „Paulini“).

Ponieważ zaś przywilej papieski przeznacza dla Generała Paulińskiego ubiór prałacki, mantolet i mucet, a że dodatkowy ten ubiór nie pogodziłby się z habitem zakonnym dosyć skomplikowanym, składającym się: z sukni samej (tunica), pasa (cingulum), szkaplerza (scapulare) i kaptura (caput'um); przeto tenże przywilej zmienia habit Generała na zwykłą suknię prałacką, lecz białego koloru, z którą już mantolet i mucet się godzą.

Same przywileje i prawa wylicza list apostolski Klemensa XIV, którego treść jest następująca:

Klemens XIV

Na wieczną rzecz pamiątkę.

Przystoi Biskupowi Rzymskiemu, któremu zarząd od Boga powierzony został, na życzenia, przez które osobom pod jarzmem słodkiem wiary służącym Najwyższemu i starającym się o obfite skutki uczynków dobrych za sprawą Tego, od którego wszelkie dobro pochodzi, przydaje się świetność i wygodę, chętnie odpowiadać i w tem, mocą pasterskiego urzędu współdziałać; stosownie do tego w Panu za rzecz zbawienną to się wydaje.

Świeżo bowiem przedstawił nam ukochany syn Paweł Esterhazy, Przeor Generalny zakonu świętego Pawła i Pustelnika, że gdy zgromadzenie jego przez nas powagą apostolską do liczby tych zakonów zaliczone zostało, których generałowie posiadają łaski niektóre i przywileje od tejże Stolicy Apostolskiej, przeto tenże Paweł pragnie, aby mógł używać tychże samych łask i prerogatyw, ku uświetnieniu i ozdobie swego zakonu i ku wygodzie duchownej swoich zakonników, — On i na

jego urządzenie następcy; prosił nas przeto pokornie, abyśmy łaskawie ich udzielili jak niżej, ze szczodroblowości apostołskiej.

My przetoż pragnąc temuż Pawłowi okazać życzliwość i przychylność, uwalniając go od wszelkich wyroków, suspens, ekskomunik, interdyktu i kar, jakie prawo lub władza kościelna mogła kiedykolwiek z jakiegobądź powodu wydać, na przypadek, gdyby niemi był skrępowany, ku osiągnięciu tylko pełnego skutku niniejszego listu, od tychże stanowczo uwalniając i chcąc, by za uwolnionego od nich był miany, przychylając się do prośby, temuż Pawłowi i następcom jego zakonu świętego Pawła I Pustelnika Przeorom Generalnym kiedykolwiek istniejącym, aby w klasztorach tegoż zakonu mitry i pastorału oraz pierścienia pasterskiego i również krzyża i sandałów i innych ozdób, których używają biskupią godnością obdarzeni i w których do sprawowania ofiary świętej postępują, na wzór, czyli na tenże sam sposób, co inni Generałowie zakonów tego rodzaju, w dni uroczystości większych, to jest: Narodzenia, Zmartwychwstania Pana naszego Jezusa Chrystusa, Zesłania Ducha Świętego, Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i w dniu świętego Pawła pierwszego Pustelnika, mógł używać — a także po nocnych i rannych pacierzach i również po Mszy odśpiewanej i nieszpiorach, błogosławieństwa uroczystego po mszach, nieszpiorach, jutrzniach i innych nabożeństwach uroczystych, ludowi wtedy obecnemu, byle biskup dyecezyalny albo i inny biskup, albo też jaki legat Stolicy Apostołskiej nie był obecny, a gdyby był obecny, za jego zgodą wyraźną, udzielać i wiernym Chrystusowym obecnym na tego rodzaju błogosławieństwie, także dziesięć dni odpustu i grzechów odpuszczenia udzielać czyli dziesięciu dni z zadanych im albo skądinąd ciężących pokut uwalniać i głosić w formie kościoła zwykłej i każdemu wspomnianego zakonu członkowi po ślubach i do tego zdolnych, udzielać charakteru duchownego i do czterech święceń mniejszych razem, lub kolejno jak będzie wypadało, we wszystkie święta dopuszczać i święceń im udzielać, jak również suknie, ubiór, ozdoby i aparaty kościelne, księgi, obrazy, krzyże, dzwony, kielichy, naczynia i tabernakula jakiegokolwiek kościołów i klasztorów wspomnianego zakonu, oraz ołtarze ich poświęcać; też same kościoły albo ich cmentarze i inne miejsca kościelne w jakibądź sposób znieważone, wodą, jednak przez biskupa katolickiego jak to jest we zwyczaju poświęconą, poświęcać; suknię prałacką koloru białego z mucetem i mantoletem, nawet na dworze rzymskim nosić, tenże Paweł Przeor Generalny swobodnie i godziwie może i ma prawo i tegoż Pawła Przeora Generalnego wspomnianego zakonu następcy na przyszłość zawsze mogą i mają prawo nosić, — powagą apostołską na mocy niniejszego pisma zgadzamy się, pozwalamy i stanowimy, by toż niniejsze pismo zawsze mocne, ważne i skuteczne istniało i było, i swoje zu-

pełne i całkowite skutki miało i wydawało, i aby tym, do których się odnosi i w przyszłości odnosić się będzie we wszystkich szczegółach służyło i aby przez nich nienaruszenie zachowywanem było. W ten sam sposób wszystko co wyżej ma być rozumiano przez jakichkolwiek sędziów biskupów i delegatów, nawet do spraw pałacu apostolskiego, audytorów i świętego rzymskiego kościoła kardynałów, nawet przybocznych legatów i świętej Stolicy Apostolskiej Nuncyuszów, odejmując im lub z nich komukolwiek jakąbądź władzę inaczej sądzić i tłumaczyć i powagą jak wyżej ma być sądzone i określane — i jako nie ważne i próżne, jeżeliby inaczej, co do powyższego przez kogokolwiek i jakąkolwiek powagą świadomie lub nieświadomie zdarzyło się uważać.

Bez względu na ś. p. Benedykta XIV, poprzednika naszego, co do podziału przedmiotu i innych apostolskich i powszechnych, prowincjonalnych i Synodalnych Koncyliów, wydanych ogólnych lub szczególnych konstytucyj, nawet przysięg wspomnianego zakonu, potwierdzenie apostolskie lub jakąkolwiek mocą albo siłą wydane statuty i zwyczaje, przywileje również i indulty i listy apostolskie w niezgodzie z powyższem wydane, potwierdzone i wznowione. To wszystko razem i pojeдинczo, niniejszem jako zupełnie i wystarczająco wyrażone i słowo po słowie zapisane, posiadając jako mające zawsze w swej mocy trwać i dla osiągnięcia skutku niniejszego pisma w tym razie tylko specjalnie i wyraźnie odwołujemy, bez względu na cokolwiekbądź innego i przeciwnego.

Dano w Rzymie u Najświętszej Maryi Panny Większej pod pieczęcią Rybaka dnia 23 lipca 1770 r. Pontyfikatu naszego roku drugiego.

podpisał kardynał

A. Nigronus.

(pieczęć Rybaka).

Sam zaś dekret, który przywraca Przeorowi klasztoru Jasnogórskiego przywileje powyższe, jest treści następującej:

Dekret.

Gdy przedstawiono Stolicy Świętej, że prastary klasztor zakonników zakonu ś-go Pawła I Pustelnika w Częstochowie na Jasnej-Górze znajdujący się, za staraniem i usilnością obecnego Przeora Euzebiusza Rejmana, męża z pobożności i nauki praestantissimi, do dawnej świetności został doprowadzony i proszono, aby też Stolica Święta potwier-

dzić raczyła dla dzisiejszego Przeora i jego następców przywileje i prawa już udzielone przez ś. p. Klemensa XIV, Święta Kongregacya Ich Eminencyj najczcigodniejszych Świętego Kościoła Rzymskiego kardynałów do spraw biskupów i zakonników wyznaczona, na mocy specjalnej władzy przez świętego Pana naszego Leona XIII papieża udzielonej, zważywszy dokładnie wszystkie okoliczności dotyczące tej sprawy, oświadczając, że Ojciec Euzebiusz Rejman, obecny Przeor klasztoru Ś-go Pawła i Pustelnika w Częstochowie na Jasnej-Górze istniejącego i jego na przeorstwie następcy wybrani kanonicznie, z prorogatyw wszystkich, władzy, przywilejów i łask korzystać i używać może przez ś. p. Klemensa XIV Listem Apostolskim, zaczynającym się od słów: „Przystoi Biskupowi Rzymskiemu“ w dniu 23 lipca 1770 roku wydanym, Przeorom Generalnym wzmiankowanego zakonu i ich następcom udzielone zostały.

Dano w Rzymie 24 maja 1901 roku.

Podpisał Kardynał *Gotti*

Prefekt Kongregacyi.

(Pieczęć Kongregacyi.)

W uroczystość Bożego Narodzenia ojciec Romuald, głośno i dobitnie odczytał z ambony powyższe oba dekrety i wyjaśnił je wymownie, licznie zebrany wiernym. Potem Przeor Generalny ks. Rejman, ubrany w sam tylko ubiór prałacki, przemówił z tronu w następujący sposób:

Kochani bracia i wszyscy tu na uroczystość dzisiejszą zgromadzeni!

Dopiero co z ust kapłana dowiedzieliście się o łasce szczególnej, jaką Stolica Apostolska udzieliła zakonowi Paulinów i miejscu świętemu — Jasnej Górze. Zawdzięczyć to możemy jedynie stałej Opiekunce i Strażniczce miejsca tego — Najświętszej Pannie Częstochowskiej. Prawa i przywileje przez Ojca Świętego Leona XIII potwierdzone, odnoszą się do wszystkich wiernych, tulących się na Jasną Górę pod płaszc opiekunczy Bogarodzicy. Nabożeństwa bowiem pontyfikalne oraz błogosławieństwo i odpusty, które ja niegodny i następcy moi mają prawo udzielać, są przeznaczone dla korzyści duchowej wszystkich na Jasną Górę przybywających.

Łaski przeto, o których mówił kapłan, są nie tylko zakonu naszego, lecz wszystkich wiernych wspólnem dziedzictwem — wspólną własnością. Wspólna też radość i wdzięczność za nie zapanować powinna w sercach naszych.



**Najprzewielebniejszy Ojciec Euzeblusz Rejman, Generał zakonu Paulińskiego
na Jasnej-Górze w Częstochowie.**

Fotografia „Dzwonka Częstochowskiego.”

Na gwiazdkę tegoroczną przyszło nam to dobrodziejstwo! Szczęśliwie wypadło, bo dzień dzisiejszy, to największy w dziejach świata i ludzkości. Narodzenie się Zbawiciela powołało do życia wszystkie uczucia szlachetne i pragnienia, jakie drzemały w letargu, przez cztery tysiące lat, w duszach ludzkich.

Zdumiewający widok nam się przedstawia. Bóg tak Wielki, Potężny, Święty, którego świat cały ogarnąć nie może, w postaci słabego Dziecięcia, kwili w stajence Betleemskiej z zimna i niedostatku, bo nie ma nawet tego schronienia na narodziny swoje, co dzieci najbiedniejsze. Naukę najwymowniejszą daje nam dziś prrzez to Zbawiciel: uczy ludzi cierpliwego znoszenia losu, uświęca ich biedę i nędzę. Pójdźcie doń wszyscy dzisiaj, narzekający na jakiekolwiek niedostatki, połączcie się myślą i sercem ze Zbawicielem swoim w duchu praw i przykazań Jego, a osiągnięcie bogactwa duszy i serca większe nad wszelkie skarby świata, nad wszystko złoto, jakie świat posiada, posiadziecie łaskę Bożą i na dziedzictwo stałe — Boga samego.

I ja dziś biorąc ubiór pontyfikalny, nie o co innego dla siebie w modlitwie kościelnej prosić będę — zaczyna się ona od słów: „Zwróć mi, Panie, suknię nieśmiertelności, którą utraciłem przez przeniwierstwo pierwszych rodziców.“

Piękność i świetność strojów kościelnych, to życzenie i pragnienie Kościoła, by nietylko dusze kapłanów, ale dusze wszystkich wiernych takim blaskiem cnót i świętości jaśniały — ku życiu wiecznemu. O to modlić się będę dziś — i wy też, drodzy bracia — módlcie się ze mną, o to samo, — Amen.

*

*

*

Po tem przemówieniu, przy pomocy asystujących wszystkich braci zakonnych, ks. Euzebiusz Rejman ubrał się w szaty biskupie i rozpoczął uroczystą sumę.

Przy końcu udzielił ludowi błogosławieństwa — na mocy otrzymanych przywilejów.

*

*

*

Po nabożeństwie wiele osób pośpieszyło złożyć życzenia Czcigodnemu Ojcu Euzebiuszowi Rejmanowi. Podczas obiadu odbyła się choinka, w której wzięły udział dzieci z ochronki miejscowej, utrzymywanej z ofiarności Oskarowej hr. Tyszkiewiczowej i miłym śpiewem kolęd wzruszały serca obecnych. W imieniu Zgromadzenia O. O. Paulinów, przemówił serdecznie O. Bonawentura. Potem wznosił zdrowie Najprzewielebniejszego księdza Euzebiusza Rejmana, Generała zakonu Paulinów ksiądz redaktor „Dzwonka Częstochowskiego“.

Dzień dzisiejszy — rzekł mówca — każdemu dobrze myślącemu człowiekowi nasuwa poważne refleksye. Każdy dobry obywatel kraju naszego, wszelkiego stanu, powtarzam dobry obywatel, nie może obojętnie przejść do codziennych spraw, wobec zdarzenia dnia dzisiejszego. Serce naszego kraju Jasna-Góra, forteca nie materialna lecz duchowa, moralna, nabiera blasku, a z nim siły i potęgi.

W ciągu przeszło pięciu wieków, miejsce to święte, doznawało różnych losów. Były chwile jasne, świetne, to znów mroczne i wywołujące trwogę. W ostatnich kilku dziesiątkach lat spadły na Jasną Górę ciężkie próby. Teraz znów Opatrzność Boża okazuje swą moc cudowną i daje nam przedsmak lepszych dni.

Do każdej sprawy Pan powołuje wybranych swoich. Podobano się Bogu w tym czasie Ciebie, Najprzewielebniejszy ks. Generale uczynić narzędziem swej łaski, ażebyś swoją pracą, wytrwałością, swoją siłą wewnętrzną odnowił dawną świetność Jasnej-Góry. Dzisiaj więc winszując Ci nowego dostojęstwa w hierarchii kościoła, którem obdarzył Cię niepożytej pamięci Leon XIII i z serca ciesząc się tym dowodem uznania twojej pracy — upewniam Cię, Najprzewielebniejszy ks. Generale, że wszyscy miłujący dobrą sprawę, zarówno rozradowali swe serca i rozradują uroczystością dzisiejszą. Kiedyś nam udzielał błogostawieństwa apostolskiego, prosiliśmy Boga, aby Cię wspierał i nadal swą świętą łaską w Twej owocnej pracy — a my wszyscy pomni na to, że w jedności siła, abyśmy Ci pomagali w Twych usiłowaniach ku przywróceniu dawnej świetności Jasnej-Góry i umocnieniu tego wpływu duchowego, jaki ona wywierała na społeczeństwo polskie w najświetniejszych czasach. Wznoszę więc toast okrzykiem: Vivat Najprzewielebniejszy ks. Generał!

Wśród podniosłego i serdecznego nastroju przyjęto i inne toasty.

*

*

*

W przejeździe z Włoch do Petersburga p. Ludwik Korwin-Piotrowski w celu zaspokojenia potrzeb duchowych zatrzymał się na Jasnej-Górze podczas uroczystości świąt Bożego Narodzenia i przyczynił się do uświetnienia uroczystości dnia tego, wykonaniem na chórze podczas celebry Ojca Generała Zakonu Paulinów pieśni solowych: 1) „Do Ciebie głos wznosimy Matko Boga“ — Leśkiewicza. 2) „Pietà Signore“ — Aleksandra Stradelli’ego.

W uroczystość zaś Ś-go Szczepana podczas tradycyjnego wieczornego zebrania u Dostojnego Infułata tenże p. Ludwik Korwin-Piotrowski odśpiewał artystycznie, pięknym barytonem, kilka swoich pieśni.

*

*

*

Za rządów więc Jego Dostojności Ojca Euzebiusza Rejmana, gorliwego regimentarza Ojców Paulinów, klasztor częstochowski okrył się nowym splendorem, a wierni, korzący się przed wizerunkiem cudownym Bogarodzicy, otrzymali nowe źródło łask niebieskich. Bo oto zmarły Papież, Leon XIII, uznając zasługi Jego Dostojności, przywrócił przeorom jasnogórskim prawa przeorów generalnych, to jest prawa opackie, przyznane im niegdyś przez papieża Klemensa XIV, a następnie, wskutek rozmaitych okoliczności natury politycznej, cofnięte. Z praw tych i przywilejów wysokich zaczął korzystać Jego Dostojność Ojciec Rejman, poczynawszy od wielce uroczystego dnia Bożego Narodzenia, a ważne to dla klasztoru jasnogórskiego i wiernych zdarzenie, zostało upamiętnione za pomocą wspaniałej uroczystości.

Więc w dzień rzeczony, o godzinie 10 ej z rana, Jego Dostojność, przywdziałwszy białe szaty pałackie, podążył w otoczeniu duchowieństwa zakonnego, podtrzymywany przez prezydenta Częstochowy, p. Głazka i p. Sיעińskiego, z celi swojej przed ołtarz wielki świątyni jasnogórskiej, aby w blasku nowej godności złożyć hołd Bogu — odprawić solenną Mszę Ś-tą. Kościół był przepełniony wiernymi, którzy z rozrzewnieniem i radością poglądali na wywyższonego osobiście przez Stolicę Apostolską spadkobiercę ciężkich lecz zaszczytnych obowiązków, tak chwalebnie pełnionych przez Kordeckiego. Wszyscy byli przejęci doniosłością chwili. Jego Dostojność stanął na tronie, na którym odtąd zasiadać będzie, a Ojciec Romuald, Paulin, odczytał bullę Leona XIII, w której Jego Świętobliwość Wielki Papież wymienia zasługi Jego Dostojności Ojca Rejmana i wskutek nich przywraca Mu oraz Jego następcom, przeorom jasnogórskim, prawa opackie; nadto odczytał bullę

Klemensa XIV, nadającą przeorom jasnogórskim prawa i przywileje prałatów-infułatów.

Po tem przemówieniu nastąpiła Suma, podczas której obowiązki archidyakona spełniał sędziwy Ojciec Bonawentura, a ceremoniarza Ojciec Mikołaj. Jego Dostojsności, wracającemu od ołtarza, wierni w rozradowaniu serc, wyrażali szczere uczucia swoje, całowali Jego stopy i szaty, składali Mu życzenia najdłuższych lat — On zaś udzielić raczył błogosławieństwo i odpust.

Poświęcenie szkoły. Za staraniem dyrektora fabryki akcyjnego Towarzystwa „Stradom“ (dawniej Szpagaciarnia) p. Nagła, dnia 15 października 1904 r. została otwarta jednoklasowa ogólna szkoła przy tejże fabryce na 60 dzieci. Poświęcenia takowej dopełnił proboszcz parafii Świętego Zygmunta, ks. prałat Waberski w obecności przedstawicieli władzy pedagogicznej miejskiej, oraz administracyi fabrycznej. Po wygłoszeniu okolicznościowej mowy przez ks. Waberskiego, w której Czcigodny Prałat wyraził podziękowanie p. Nagłowi i administratorowi fabryki p. Tarnowskiemu za podjęte starania około otwarcia wyżej wspomnianej szkoły i zaznaczył niezbędną potrzebę oświaty między ludem fabrycznym, dzieci otrzymały pamiąteczki, jako to: medaliki z wizerunkiem Niepokalanej Bogarodzicy, piórniki, ołówki, pióra, oraz łakocie, kupione za wyznaczone na ten cel pieniądze z fabrycznej kasy. Zaledwie 2 miesiące upłynęło, a dyrektor wspólnie z administratorem postarali się znowu o wyasygnowanie 100 rb. na urządzenie gwiazdki, która też odbyła się 22-go grudnia. Przy zręśście oświetlonej i przybranej choince, w obecności wielu zgromadzonych osób, dzieci odśpiewały parę kolęd i przedeklamowały kilka okolicznościowych wierszyków. Następnie pp. dyrektor i administrator wspólnie z ks. prałatem Waberskim zajęli się rozdaniem przygotowanych dla dzieci podarków, jako to: materyałów na ubranka, pierników, cukierków, strucli, orzechów, jabłek. Oprócz tego ksiądz redaktor „Dzwonka Częstochowskiego“ wręczył wszystkim dzieciom po pięknym obrazku Matki Boskiej Częstochowskiej, a umiejącym czytać po książeczce pod tytułem: „Ks. Kordecki — Obrońca Jasnej Góry.“ O godzinie 5-ej wieczorem uszczęśliwiona dziatwa prawie nieoczekiwaną gwiazdką, podziękowawszy opiekunom za tak pięknie urządzoną uroczystość, z niedokończoną kolędą na ustach, w podskokach i płasach powróciła do domów rodzicielskich.

Za troskliwą opiekę, jaką jest otoczona szkoła wszystkim pp. Akcyonaryuszom, ich administratorom oraz całemu zarządowi w imieniu rodziców, dzieci i całego ogółu składamy serdeczne „Bóg zapłać!“

Szkoła Muzyczna p. Ludwika Wawrzynowicza w Częstochowie. Z dniem 15 stycznia została otworzona w Częstochowie Szkoła Muzyczna. W szkole tej odbywać się będzie nauka gry na wszystkich instrumentach oraz lekcya deklamacyi. Celem szkoły będzie prawidłowe kształcenie w muzyce systemem Warszawskiego Konserwatorium. Nauczycielami będą osoby posiadające patenty nauczycielskie i praktykę pedagogiczną. Klasa deklamacyi będzie prowadzoną przez profesora Grubińskiego, artystę Warszawskich Teatrów rządowych. Ponieważ stosunkowo do dzisiejszych wymagań bardzo mało jest fachowych szkół dla organistów, któreby tak kształciły, aby uczeń po przejściu odpowiedniego kursu zdolnym był objąć posadę organisty, przeto posiadając wyrobioną już praktykę i wiadomości fachowe, szkoła położy szczególny nacisk na klasę organową. Naukę liturgii katolickiej prowadzi będzie p. Henryk Makowski, profesor Warszawskiego Konserwatorium, który studia kościelne skończył w Ratyzbonie. Uczniowie dla zdobycia praktyki, co niedziela śpiewać będą na chórze podczas sumy i niesporów chorały i części zmienne, przypadające na każdą niedzielę i święto. W dzisiejszych czasach coraz więcej muzyka z naleciałościami świeckimi ustępuje miejsca poważnej muzyce kościelnej, której treść i wartość zrozumieć można po odbyciu odpowiednich studyów. Nauka chorału jest nader ważną dla organisty. Mylnie niejeden sądzi, że chorałem można nazwać każdy śpiew chóralny, składający się z kilku głosów; przeciwnie, chorał po większej części bywa jednogłosowy i aby odpowiednio do niego akompaniować, niezbędną jest znajomość tonacyj kościelnych, gdzie cała różnica polega na różnorodności półtonów, co właśnie jest największą właściwością muzyki kościelnej.

Uczniowie będą się uczyć również zasad śpiewu, gdyż chorał śpiewany nieumiejętnie, głosem niepostawionym, traci na swej piękności.

Muzyce świeckiej w kościołach katolickich, jak również nieakuratności w wypełnianiu obrządków kościelnych, ostateczny kres położyła Kongregacya święta dekretem w dniu 26 kwietnia 1883 r., a Ojciec Ś. ty Leon XIII zatwierdził „Regulamin dla muzyki kościelnej“, wydany przez ś. tą Kongregacyę Obrzędów cyrkularzem z dnia 24 września 1904 r. do biskupów wszystkich dyecezyi włoskich. Reformę muzyki kościelnej rozpoczęto w Ratyzbonie, na którem to polu położył zasługi ś. p. biskup ratyboński ks. Walenty Riedel. Wydano specjalne księgi kościelne, założono drukarnię dzieł religijnych. Od tego czasu prawdziwa muzyka kościelna rozpowszechnia się coraz bardziej i słuszenie też coraz więcej wyrażana jest znajomość jej od organistów.

Dlatego też mając na względzie powyższe wymaganie, dyrektor szkoły muzycznej w Częstochowie pragnie zaprowadzić dla organistów

naukę jak najprawidłowszą i jak najzgodniejszą z przepisami ś-ej Kongregacyi.

Organista ukończywszy tę szkołę, musi umieć prawidłowo grać na organach, znać rytuał gregoryański, śpiew chorałów, modulację kościelne, aby takowych w przerwach nie łączyć za pomocą modulacyj świeckich, — w razie potrzeby improwizować na organach, raczej modulować — grać krótkie preludya — chór poprowadzić i t. p.

Wobec wzmagającego się ruchu muzycznego i coraz większych wymagań w muzyce, szkoła taka w Częstochowie jest bardzo pożądaną.

Bardzo dodatnim przymiotem intelligentnych mieszkańców Częstochowy jest chęć uczenia się teoryi muzyki i w ogóle żywsze zainteresowanie się tą gałęzią sztuki pięknej. Mamy więc nadzieję, że szkoła muzyczna będzie przez ten ogół z zapalem przyjęta i szczerze popierana. Jesteśmy pewni, że Szanowne Duchowieństwo odczuwające brak dobrych, wykształconych organistów i interesujące się muzyką i podnoszeniem jej poziomu w naszym kraju, powita szkołę tę z całą przychylnością.

Kompanie. W liczbie zeszłorocznych kompanii, przybyłych dla po-
krzepienia ducha religijnego na Jasną-Górę w Częstochowie, wyróżniały
się wzorowym porządkiem i pobożnością kompanie z parafii Przasnysz,
diecezyi Płockiej, pod przewodnictwem pełnych poświęcenia dla chwały
Bożej kapłanów, księży S. Figielskiego i A. Bugajczyka, a także z pa-
rafii Rokitno, gub. Kieleckiej, pod ojcowskiem przewodnictwem ks. W.
Karwata.

O F I A R Y:

Na klasztor Jasnogórski.

| | | | | | | |
|---------------------|---|---|---|---|---|---------------|
| K. Zap. w Kat. Iw. | . | . | . | . | . | rb. 10 — kop. |
| P. Her. w Pet. | . | . | . | . | . | „ 1 — „ |
| Nat. Walen. w Dosz. | . | . | . | . | . | „ 1 — „ |
| K. Hindz. | . | . | . | . | . | „ 1 — „ |

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie

| | | | | | | |
|---------------------|---|---|---|---|---|---------------|
| Wład. Szamb. w Pet. | . | . | . | . | . | rb. 1 63 kop. |
|---------------------|---|---|---|---|---|---------------|

| | |
|----------------------------|--------------|
| J. Gier. w Wołk. | rb. 1 — kop. |
| L. Jaworow. w Koł. | „ 2 — „ |

Na biednych do uznania Redakcyi.

| | |
|---------------------|---------------|
| M. Pł. w K. | rb. 1 30 kop. |
|---------------------|---------------|

Na powodzian.

| | |
|-------------------------|---------------|
| A. Kone. w Pet. | rb. 3 70 kop. |
|-------------------------|---------------|



Nowiny z daleka i z bliska.

Z Sułoszowy, dyecezyi Kieleckiej. Wraz z czcigodnym ks. Marcinem Smolką, dziekanem olkuskim, grono kapłanów tego dekanatu podążyło do parafii Sułoszowa, gdzie u ks. Józefa Zaleskiego, miejscowego proboszcza, odbyła się uroczystość pożegnalna ks. magistra ś-ej teologii Czesława Wojny, byłego proboszcza Sieciechowic, z woli J. E. ks. biskupa Kulińskiego przeniesionego do parafii Koniemłoty, dekanatu Stopnickiego. Przemówienie ks. dziekana było wyrazem uczuć ogółu, który osobę ks. Wojny otaczał szacunkiem i miłością. Cichy to pracownik, acz wysoko wykształcony, zawsze ostatni, gdy chodziło o zaszczyty i odznaczenia, a pierwszy, gdy idzie o poświęcenie się dla dobra bliźnich; w pracy wytrwały i gotów zawsze do niesienia usług koleżeńskich.

Te niezwykle przymioty, da Bóg, będą towarzyszyły szanownej osobie księdza proboszcza sieciechowskiego i na nowem stanowisku obszernej parafii, wymagającej żelaznej energii, zaparcia się siebie i świętego ognia miłości Chrystusowej.

Żegnany bratnimi uściskami, serdecznymi życzeniami, głęboko wzruszony, cichy pracownik w winnicy Pańskiej, mówca niepospolity, tym razem nie mógł znaleźć słów na wyrażenie przepełniającej jego serce wdzięczności.

Z dyecezyi Płockiej, parafia Sadłowo. Cześć Matki Boskiej znaną jest i praktykowaną w dyecezyi Płockiej od zarania jej erekcyi. Prastara katedra płocka, fundowana pod wezwaniem „Najświętszej Panny Mazowieckiej“, z górą 40 świątyń, wzniesionych w dyecezyi pod wezwaniem Matki Bożej, przeszło 25 cudownych obrazów Bogarodzicy, liczne bractwa, setki całe ołtarzy i kaplic, poświęconych Jej czci, Różaniec i Szkaplerz, liczne obrazy, figury po kościołach, przy drogach, lasach, z górą



**Z Sułoszowy, dyecezyi Kieleckiej. Duchowieństwo, żegnające ks. Czesława
Wojnę, opuszczającego dekanat olkuski.**

700 chorągwi, proporców, feretronów i t. p. — to dowody ciągłej, powszechnej i głębokiej pobożności dyecezyan płockich ku Królowej Nieba i ziemi.

Lecz ta cześć ku Maryi spotężniała i wzrosła w końcu XIX wieku, osobliwie zaś w roku 1904, w tym pamiętnym roku jubileuszowym półwiekowego ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny. W tym bowiem roku fundowano wiele obrazów, figur i różnych pamiątek na uczczenie Niepokalanej Dziewicy w dyecezyi Płockiej. Wśród jednak tych drogiech pamiątek chyba jedną z najpiękniejszych i najkosztowniejszych jest *obraz Matki Boskiej Częstochowskiej*, umieszczony w kościele sadłowskim, dekanatu rypińskiego.

Nie tak dawno, gdyż było to 6 grudnia, obraz wspomniany, umieszczono w dużym ołtarzu kościoła sadłowskiego pod zasłoną, którą zdobi wizerunek ś-go Jana Chrzciciela. Był to dzień odpustowy ś-go Mikołaja. Rzesza wiernych była liczna. Ks. St. Gogolewski, proboszcz miejscowy, przybrany w komżę, stułę, piękną białą kapę — dar miejscowego kolatorstwa, państwa Rozciszewskich — dopełnił z rozrzewnieniem, aktu poświęcenia tego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Ks. W. Z. zaznaczył w krótkich słowach: czem była Matka Boska Częstochowska dla nas w dziejach narodu polskiego, co było pobudką sprowadzenia kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej do kościoła Sadłowskiego, czem może być dla parafii i całej okolicy ten święty wizerunek, a krótka modlitwa, jako wezwanie do Matuchny Częstochowskiej, to ostatni akt jakby strzelisty tego przemówienia. Chwila to doprawdy była imponująca, rzewna, uroczysta!..

Obraz sam Matki Boskiej Częstochowskiej w Sadłowie jest rzeczywiście i kosztowny i ładny. Znakomicie wykończony nawet w najdrobniejszych szczegółach. Malował go na płótnie Stanisław Zabrzycki z Warszawy, sukienkę srebrną zrobiono w zakładzie hr. Ożarowskiej, pod jej kierunkiem; zakład bronzowniczy Łopieńskiego wykończył korony, suto pozłoczone i udekorowane kamieniami — wiele z nich prawdziwych — na jednej spoczęła złota branzoleta p. H. Rozciszewskiej i prawie cała biżuteria. Bogate, złoczone ramy okalają ten święty wizerunek Bogarodzicy; wypracował je Sydorowicz Tło całe, na którym spoczywa obraz Maryi, stanowi kosztowny plusz — bordo.

Całość zatem tego dzieła sztuki malarstwa i rzeźbiarstwa etc. sprawia nader wspaniałe, rzewne, pociągające wrażenie. Toteż lud wołał rzewnie, ujrzawszy swą ukochaną Matuchnę Częstochowską: módl się za nami! Pobożnym i zacnym fundatorom, znanym szeroko ze swej hojności na kościoły, pp. Rozciszewskim: Józefowi i Helenie z Kamockich, dziedzicom i kolatorom sadłowskim, należy się głęboka podzięką za tak drogocenną pamiątkę, jaką złożyli kościołowi i parafii

sadłowskiej, na upamiętnienie 50-lecia jubileuszu ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny.

Ks. W. Załuski.

Z nad Warty, z Mrzygłoda. Pamiętny będzie na zawsze w dziejach kościoła naszego dzień 8 grudnia 1904 roku. W dniu tym, jak kraj nasz długi i szeroki, Najświętsza Marya Panna Niepokalanie Poczęta odebrała cześć, hołd i uwielbienie od wszystkich ukochanych dzieci tej ziemi. I my, parafianie Mrzygłodzcy, chcemy się podzielić z czytelnikami „Dzwonka Częstochowskiego“ wiadomością, jak była obchodzoną u nas uroczystość ku czci Niepokalanie Poczętej Maryi Panny.

Miasteczko Mrzygłód, zbudowane przed kilkuset laty na wysokiej skalistej górze, nad rzeką Wartą, posiada piękny murowany kościół Wniebowziętej Najświętszej Maryi Panny. Do tego kościoła parafialnego należy sześć tysięcy ludzi, którzy w szczególniejszy sposób okazali swoje przywiązanie do tej świątyni. Już na kilka dni przed wielką uroczystością jubileuszową krzątano się pilnie, aby upiększyć mieszkanie Wniebowziętej Patronki całej parafii. A więc młodzież parafialna wiała korony, wieńce i girlandy z zieleni i kwiatów; starsi znosili światło, zwozili świerki na umajenie bram kościelnych i t. p.

I już w wigilę święta na pierwsze nieszpory kościół mrzygłodzki został wspaniale wewnątrz i zewnątrz upiękuszony. Trzy transparenty z wyobrażeniem Niepokalanie Poczętej Pani Maryi z podpisem: „O, Maryo Niepokalana, módl się za nami!“ widniały zdala na bramach cmentarza kościelnego; mury świątyni wewnątrz i zewnątrz tonęły w zieleni wieńców i girland. Imię Marya zawieszone na wieży kościelnej, wśród sztucznych kwiatów przyciągało serca wiernych. To też od świtu śpieszono do kościoła na tę uroczystość, która rozpoczęła się „Godzinkami o Niepokalanem poczęciu“, śpiewanemi przez wszystkich lud.

Podczas całego nabożeństwa jubileuszowego w kościele płonęło około 500 lamp różnokolorowych, porozwieszanych symetrycznie od sklepienia świątyni aż do stóp ołtarzów świętych. Śpiewy na cześć Maryi nie ustawały na chwilę. Mury świątyni nie mogły objąć zgromadzonych parafian. Podczas kazania; gdy kapłan ofiarował siebie i całą parafię Najświętszej Maryi Pannie, powstał taki płacz, że trudno było kaznodziei już potem przyjść do słowa.

Ale najwspanialej wypadło zakończenie tej uroczystości wieczorem. O godzinie 5-ej, nieszpory drugie z Litanią, Różańcem i modlitwami wy-ciskały łyzy uwielbienia, hołdu i wdzięczności ku Tej, która jest Matką naszą. Procesya na zakończenie odbyła się po cmentarzu kościelnym, a znowu setki świateł w różnokolorowych lampionach, ognie ze smółcu, rakiety i sztuczne płomienie bengalskie i salwy okazywały, jaki

to dzień tryumfu, to święto jubileuszowe. Uroczyste i wspaniałe „Te Deum laudamus“ z modlitwami dziękczynnymi i pieśń: „Witaj, Święta, i Poczęta niepokalanie“... zakończyło ten dzień wiekopomny, pięćdziesięcioletnią rocznicę ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

A choć się to nabożeństwo kościelne już skończyło po niesporach, to dzieciom Maryi trudno się było rozstać ze swoją Matuchną najmilszą. Więc na wieży długo jeszcze śpiewano pieśni o Najświętszej Maryi Pannie przy akompaniamencie muzyki tutejszej.

Na długo zostanie w pamięci ten dzień uroczysty i jedne pokolenia opowiadać będą o nim drugim, dopóki znowu nie doczekają się stuletniego jubileuszu tegoż ogłoszenia dogmatu.

Niechże będą dzięki Panu Jezusowi, że tak rozpałił miłość ku Matce Swojej w sercach parafian naszych. Niechajże będzie cześć temu naszemu ludowi, że tak kocha Matkę Boską Niepokalanie Poczętą. A daj Boże, abyśmy wzrastając tu na ziemi w coraz większej miłości ku Panu Jezusowi i Matce Jego, mogli się z Nimi cieszyć wiecznie w niebie.

Ks. R. W.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół Najśłodszego Serca Jezus i Maryi w Seranton, Pa, w Ameryce. W styczniu r. b. odbyło się uroczyste poświęcenie kościoła Najśłodszego Serca Jezusa i Maryi, dokonane przez najprzewielebniejszego biskupa Hobana. Z okolicznych miejscowości tłumnie napływać zaczęły towarzystwa, zarówno jak i pojedyncze osoby. Liczba zebranych wynosiła z górą 6 tysięcy. Obecne były towarzystwa z następujących parafii. Glen Lyon, Macanaqua, Wanamie, Wilkes-Barre, Kingston, Plains, Hudson, Dupont, Priceburg, Ridge i Forest City. Z pomiędzy okolicznych księży przybyli następujący: Siedlecki, Klonowski, Kloss, Szpotański, Dutkiewicz, Lipiński, Gracza, Hordych, Gramlewicz, Smełsz, Komorowski, Baranowski, Orłowski i Suchocki. Kazanie pięknym i budującym stylem wygłosił ks. Dutkiewicz z Priceburga.

Uroczystość ta zapisze się na stałe w pamięci tych wiernych, którzy w niej udział brali; dowiodła ona jasno, iż Polacy katolicy przedstawiają w tej okolicy poważną masę i znajdują się zawsze tam, gdzie należy zadokumentować wiarę i narodowość.

Kościół będzie 68 stóp szeroki i 140 stóp długi; projektowany styl przypomina z małemi odmianami romański. Dwie wieże mają mieć wysokości po 128 stóp. W kościele znajdować się będzie galerya, prowadząca od chóru na 32 stopy w głąb kościoła. Nowy kościół będzie wykończony w maju roku przyszłego.

Po ukończeniu procesyi, przedstawiającej się imponująco, ze względu na liczne towarzystwa w uniformach, biorące udział, ks. biskup M. J. Hoban dokonał w asystencyi księży E. J. Melley i P. Christ poświęcenia kamienia, który wpuścił następnie do ziemi architekt p. Glynn wraz z p. Stippem.

Po kazaniu ks. Dutkiewicza, biskupa Hobana i przemówieniu proboszcza parafii ks. Zychowicza, lud odebrał błogosławieństwo biskupa i powoli do domów rozchodzić się zaczął, rozpamiętując w duchu wrażenia tej podniosłej uroczystości. Na zasadzie planów i rysunków, twierdzić można stanowczo, iż świątynia ta będzie jednym z najpiękniejszych kościołów polskich nie tylko w Pensylwanii, lecz w całych Stanach Zjednoczonych.

I tak, wkrótce wybudowana świątynia będzie miłą pamiątką dla ludu okolicznego, a trwałym pomnikiem nieustrudzonej działalności proboszcza ks. A. Zychowicza, którego energii i pracy zawdzięczać będą katolicy tutejsi posiadanie tak pięknego kościoła.



Od Redakcyi.

Szanownym księżom: Józef. Matulewicz. w Odech., ks. Cyr. Trusz. w St. Konst., ks. Topolnic. w Jarm., ks. Fel. Kobielski. w Czarkow. w Pott., ks. Rogow. w Radz.; p. Maliński. w Bejnar., p. A. Madej. w Pisz., p. Z. Szymański. w Kat., ks. Józef. Jodl. w Kole, p. Józef. Jankow. w Płoń., ks. B. Czajkow. w Krem., p. L. Pomor. w Słon., p. A. Pietrzak. w Tyń., ks. Kaźm. Kubzew. w Konw., Antosiowi Wiatrow. w Hrub., ks. Janowi Szybar., p. Maryi Pomianow., ks. Józef. Grandysz w Jan., p. Fran. Łożyński. w Sław., ks. Adryan. Cybul. w Białog., p. J. H. Lorens., p. Józef. Żółt. w Wiąz., p. Fran. Polański., p. A. Kupczyński. w Tom., p. Stefanii Zdziechow. w Mierz., ks. Szpadrow. w Klucz., p. Beczka-Beczkowicz. w Kur., p. Janowi Wiśniew. w Cieczeln., ks. Kaźm. Bubl. w Star., p. Jan. Wójcic. w Włoszcz., p. Tom. Zygmunt. w Sosn., p. Józ. Zieliński. w Kal., p. Andrzej. Kottunski. w Zam., p. F. Głoskow. w Łądz., p. Jan. Jackow. w Koźmin., p. Szczep. Kuczyński. w Berd., p. Wiktor. Teter., p. Józ. Wojtasiew. w Wójczy, p. Mat. Straiak. w Kowal., p. Aleks. Szabl. w Małk.; ks. Pralat. Kwiat. w Miech., ks. Zaremb. w Beł., ks. Michniew. w Ruśc., ks. Win. Popiel. w Słom., ks. Jan. Bronikow. i ks. kanonik. Smółce w Wolbr., ks. Fran. Staszkiewicz. w Książ. W., ks. Stanisł. Jezier. w Rog., ks. Teod. Brazis. w Biał., ks. Ant. Rokic. w Ćmiel., ks. Stan. Raczkow. w Kiel., ks. T. Fibich. w Łądz., ks. Mar. Snop. w Wiśl., ks. Fel. Wabner., p. Józefat. Lewandow., p. W. Drozdow., p. Feliks. Szroczyński. w Kozł., ks. Jan. Wiśniew. w Ćmiel., ks. dziekan. K. W. Hussar., ks. Leop. Tazin. w Berest., ks. Hier. Knorow. w Dziekt., ks. hzieł. Aleks. Majew. w Włosz., ks. Pielasz. w Skęp., ks. kanonik. Grabow. w Izb., ks. A. Pawilczus. w Berezd., p. Kar. Pokwap., p. Maryi Behrens., ks. Tom. Bukow. w Uniejow., ks. Mar. Urban. w Łąt., ks. Józ. Roż. w Przyt., ks. W. Mieszkow. w Dłut., ks. Ludw. Chmieleński. w Dmen., ks. Doczkiewicz. z Żemeli, p. Adolf. Grudziński. w Star., p. Milew. w Brześciu Lit., ks. Dybow.

w Bydl., pp. Anieli i Waleremu Obuchowicz. w Łodzi, pp. Eufemii i Janowi Zawadz. w Wierzb., ks. Fran. Kapal. i ks. Tad. Czap. w Kłom., ks. Łuk. Jancz. w Sien., p. Karol. Namysłow. w Chom., p. Jan. Kohut. w Dobry, ks. Józef. Dudkiew. w Amer., ks. Fran. Mehl. w S. Gabr. i wszystkim Czcigodnym i Szanownym Przyjaciółom „Dzwonka Częstochowskiego“ ślemy za objawy życzliwości najserdeczniejsze podziękowanie i zarazem przesyłamy życzenia wyrażone w modlitwie naszej przed cudownym obrazem Matki Boskiej, aby w nas było jedno serce i jedno pragnienie: „Kochać Boga i czynić dobrze bliźnim“.

W-nej Pani Wandzie K. Wśród życzeń noworocznych, wierszyk pod tytułem „Dzwonek Częstochowski“ wielce nam jest miły:

Dzwoń, o, Dzwonku ku pociesze
I zgromadzaj liczne rzesze:
Zabłąkanych wiedź do Boga,
Wskazuj, gdzie do Nieba droga.
Lecisz z twierdzy Częstochowskiej,
Jako sługa Matki Boskiej,
Głosząc chwałę Pani Nieba,
Sercem czujesz, co nam trzeba.

Tak, — wiersz Szanownej Pani wyraził jak niemożna lepiej nasze serdeczne intencje.

W-nemu P. Jakł. w Hucie Drewn. Ma pan słuszność — otchłań, z chwilą wyprowadzenia z niej dusz oczekujących przyjsia Zbawiciela, przestała istnieć.

Szanownemu ks. Józef. Gulin. W Zgromadzeniu OO. Paulinów nie ma tego, o którego się Sz. ks. Dobrodziej zapytuje. Serdecznie dziękujemy za życzenia noworoczne.

Pannie Jadwidze Kub. w Pozn. Tomy „Dzwonka Częstochowskiego“, których brakowało, wysłaliśmy. Za siostrę zanosimy modły do Boga. Niech Wam Bóg błogosławi za przyczyną Matki Najświętszej.

W-nemu P. Skręt. w Kur. Fotografia Ojca Ś-go Piusa X sprowadzona z Rzymu. Za fotografię kardynała I. H. Sarto należy się nam 45 kop.

Szanownemu ks. Kamiń. w Dzierżg. Dziękując serdecznie za list i wyrażone w nim życzenia, nawzajem ślemy Wam braterski uścisk.

Czcigodnemu ks. kanonik. Kaźm. Rola-Chróścic. Jako wielbicielowi „Dzwonka Częstochowskiego“ i jego kierunku, oraz za wyrażone życzenia noworoczne ślemy braterskie pozdrowienie.

Szanownemu ks. Apol. Kędzier. Fran. Chętnie zadosyć uczynimy życzeniu Waszemu, Czcigodny Ojcie. Przyślijcie szczegóły.

W-niej Pani Aleksan. Kot. w Miń. Prenumerata opłacona na cały rok 1905. „Bóg zapłać“ za dobre życzenia — nawzajem przesyłamy Szanownej Pani z miejsca cudownego błogosławieństwo.

W-nemu P. J. Netyk. w Zar. Prenumerata za cały rok 1905 opłacona wraz z premium.

Szanownemu ks. A. Gr. w S. Do 1 stycznia r. b. należy się nam jeszcze od Sz. ks. Dobrodzieja rb. 2 i od ks. E. B. rb. 6, o czem, wedle życzenia Sz. ks. proboszcza zawiadamiamy.

Szanownemu ks. W. Powl. w Giecz. Przekaz otrzymaliśmy. Prenumerata opłacona do 1 października 1905 r., nadto pozostaje do rozporządzenia Sz. ks. Dobrodzieja 50 kop.

W-nym P. P. Wład. Wojt. w War. i Mich. Nakw. w Pop. Mamy jeszcze do zbycia pewną ilość kompletów „Dzwonka Częstochowskiego” z lat: 1902, 1903 i 1904 w cenie po rb. 4 za rocznik z przesyłką.

Szanownemu ks. A. Kob. w Kozł. Prenumerata obecnie jest opłacona do 1 lipca 1905 r.

W-nemu P. A. Puz. w Łańc. Przekaz otrzymaliśmy. Prenumerata opłacona za cały tok 1905 z przesyłką premium.

W-nemu J. Wądrz. w Chicago. Przekaz otrzymaliśmy. Na rok bieżący pozostało 80 kop.

Szanownemu ks. T. Sob. w Ł. Otrzymaliśmy — dziękujemy. Rachunek do dnia 1 stycznia 1905 r. w porządku.

W-nemu P. Fr. Wiew. w Dęm. Przesyłkę otrzymaliśmy i dziękujemy.

W-nemu P. Fel. Sob. w Kut. Do końca roku 1904 należy się nam jeszcze 10 kop.

Czcigodnemu ks. hanonik. Szafn. w Kal. Przekaz otrzymaliśmy. „Dzwonek Częstochowski“ opłacony po dzień 1 lipca 1906 r., premium zeszłoroczne (portret ks. Kordeckiego) również.

W-niej Pani Dersev. w W. Tom listopadowy wysłany powtórnie, pierwszy egzemplarz widocznie zaginął w drodze.

W-niej Pani K. Łuk. w Jar. Przesyłkę otrzymaliśmy. Z rachunku do 1 stycznia 1905 r. należy się nam jeszcze 1 rb. 60 kop.

Szanownemu ks. J. Ślap. w Mon. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1906 roku.

Szanownemu ks. A. Dow. w N. Prenumerata opłacona obecnie po dzień 1 lipca 1905 r.

Szanownemu ks. dziek. Andr. w Ow. Prenumerata obecnie została opłaconą do dnia 1 stycznia 1905 r.

Szanownemu ks. Ap. Lutob. w Lut. Prenumerata opłacona do 1 kwietnia 1905 r. i zbywa jeszcze 50 kop.

Szanownemu ks. Gabsz. w K. Po opłaceniu prenumeraty po dzień 1 stycznia 1905 r., pozostaje do rozporządzenia Sz. ks. Dobrodzieja 1 rb. 50 kop.

W-nemu P. St. Izb. w Norw. Con. Ameryka. Zgadzamy się.

W-nemu P. W. Niv. w Rydze. Prenumeraty opłacona do dnia 1 kwietnia 1905 r.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Kto życzy sobie odbierać „Dzwonek Częstochowski“ w r. 1905, raczy zawiadomić nas jaknajwcześniej, choćby paru słowami, na karcie pocztowej. Da nam to możność obliczenia, ile egzemplarzy „Dzwonka Częstochowskiego“ potrzeba będzie drukować w roku przyszłym, a Szanownych Prenumeratorów uchroni od przerwy w odbiorze pisma.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, [pod którym] dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



Redakcja „Dzwonka Częstochowskiego”
dla swych prenumeratorów na rok 1905
oprócz premium

Album Pamiątkowe budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie

ofiaruje jeszcze **drugie dodatkowe premium:**

„KSIĄŻKĘ DO NABOŻENSTWA”

zawierającą piękne dawne modlitwy, które nasi
dziadowie i pradziadowie odmawiali.

Aby tę piękną i pożyteczną książkę mógł posiadać
każdy z naszych prenumeratorów, naznaczyliśmy
na nią **cenę nadzwyczajnie niską,**
a mianowicie:

| | |
|---|---------|
| Oprawna ozdobnie w czarne płótno z białymi brzegami . . . | 45 kop. |
| Oprawna ozdobnie w płótno ze złożonemi brzegami . . . | 50 „ |
| Oprawna ozdobnie w skórę ze złożonemi brzegami. . . | 75 „ |
| Oprawna wytwornie fantazyjnie | 1.50 „ |

Życzący sobie otrzymać tę książkę pocztą dopłacają 30 kop.

Roboty kościelne, ornaty haftowane i gładkie, ornaty wyszywane na kanwie, kapy wyszywane i gładkie, komże haftowane na płótnie i tiulu, szlaki szydełkowe, alby, szlaki haftowane, obrusy haftowane i szydełkowe, szycie, czyszczenie i wszelkie reparacje aparatów kościelnych.

Serwety, setwetki, ręczniki, laufry, patarałki pod lampy, pantofelki do zegarków wyszywane i haftowane, znaczenie bielizny ażurem i atłaskiem.

Gabryela TOCZKOWSKA, ulica Wieluńska Nr. 44
w CZĘSTOCHOWIE. 

Wiadomości

Pasterskie

dla użytku duchowieństwa rzymsko-katolickiego

Czasopismo miesięczne poświęcone omawianiu przedmiotów mających łączność z nauką i pracą kapłańską, zwłaszcza parafialną, tudzież oznajmieniem z prawem kanonicznem i świeckiem, liturgią i zdobnictwem kościelnem, kazuistyką; higieną i medycyną pasterską, socjologią i filantropią chrześcijańską oraz bibliografią religijną, szczególniejszą popularną.

Cena prenumeraty z przesyłką rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2.

Redakcya i Administracja w PIOTRKOWIE.

Redaktor i wydawca **Ks. A. Grochowski.**

==== Pierwszy zeszyt ukaże się w miesiącu grudniu r. b. ====

PRZY REDAKCYI „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO”

DZIAŁ FOTOGRAFII



WYKOŃCZENIE
FOTOGRAFII
STARANNE

wykonywa zdjęcia pojedynczych osób, grup i całych pielgrzymek po cenach niskich.

„KURJER CODZIENNY”

Rok wydawnictwa
Czterdziesty pierwszy.

GAZETA SPOŁECZNA, LITERACKA i POLITYCZNA

pod redakcją Stanisława Libickiego. Administracja: Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 17.

„KURJER CODZIENNY” wychodzi codziennie wieczorem, a w niedziele i święta rano.

Przez czas wojny DODATKI PORANNE.  PREMIUM BEZPŁATNE:

Utwory powieściowe i literackie pierwszorzędných autorów, będą rozsyłane w tomach zbroszurowanych, w każdym kwartale prenumeratorzy otrzymają książkę, stanowiącą oddzielną całość za dopłatą jedynie po kop. 10 od tomu na koszt przesyłki. Prenumeratorzy, życzący sobie mieć książki w ładnej oprawie, dopłacają oprócz tego, jak i dotąd, po kop. 20 od tomu.

Nowi prenumeratorzy mogą nabywać niżej wymienione dzieła za połowę ceny wskazanej:

Pisma **Z. Krasńskiego**, cztery tomy w oprawie 1.80, **Wincentego Pola** „Mort”, „Pamiętniki Imci pana Winnickiego”, oba utwory w oprawie k. 80. „Pacholę hetmańskie” w opr. k. 80. **Pamiętniki** Stanisława Augusta Poniatowskiego“ w opr. rb. 1. **Norisa** „Octopus“, 2 tomy w opr. 1.20. **P. Adamsa** „Syn wojaka z pod Austerlitz“ w opr. 60 k. **J. I. Kraszewskiego**: „Dyabeł“ 4 tomy w opr. rb. 1.60, „Morituri“ 2 tomy w opr. rb. 1.50, „Ostatnie chwile Księcia Wojewody“ (Panie Kochanku) w opr. kop. 60. **D'Annunzio** „Ogień“ 2 tomy 1.20. **D'Aigremonta** „Mateczka“, 2 tomy 1.20. **Hal Caina** „Wieczne Miasto“ 2 tomy 1.60. **K. W. Wóycickiego** „Kurpie“ w opr. k. 60, tegoż „Dworek i pałac“ w opr. k. 60. **Wybór powieści** nieboszczyka Pantofla“ w opr. k. 80. **M. Mochackiego** „O literaturze polskiej w wieku XIX“, w opr. rb. 1. **T. T. Jeża** „Uskoki“, 4 tomy w opr. rb. 2, Nabywający 5 z powyższych dzieł kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nowości Muzyczne

Jedynе polskie czasopismo, poświęcone literaturze fortepianowej.

Wychodzi przy końcu miesiąca zeszytami objętości 20 stron. nut i tekstu.

Na treść pisma w roku 1905 złożą się: a) Utwory nagrodzone na III-cim konkursie muzycznym im. Konst. ks. Lubomirskiego. b) Wybitniejsze nowości salonowe i taneczne swojskich i zagranicznych kompozytorów. c) Muzyka dla dzieci, czyli zbioręk najpiękniejszych melodyi polskich, pedagogicznie a przystępnie opracowanych. d) Dodatek literacki, zawierający: pedagogikę, krytykę, biografię korespondencyę, kronikę ruchu muzycznego w kraju i za granicą, oraz odpowiedzi.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rub. 5, półrocznie rub. 2 k. 50, kwartalnie rub. 1 k. 25. Z przesyłką pocztową rocznie rub. 6. — W Ameryce rub. 7.

Zeszyt pojedynczy kop. 60. z przesyłką pocztową kop. 75.

PREMIUM BEZPŁATNE

dla rocznych abonentów: trzy zeszyty do wyboru z lat poprzednich.

Adres redakcyi i administracyi: Warszawa, Warecka 15.

Agentura dla Galicyi: u St. Sokołowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana №9.

BIESIADA LITERACKA

***** ILLUSTROWANA *****

drukuje powieść H. SIENKIEWICZA

„NA POLU CHWAŁY”

i drukować będzie do końca bez żadnej przerwy.

ADRES:

Warszawa,
Zgoda 7.

Treść „Biesiady Literackiej”: Uroczystość kościoła katolick. Powieści. Podróże. Polityka. Historia polska i obca. Postęp naukowy. Praca na roli. Chwila bieżąca. Z całego świata. Sztuki piękne i t. d. Ilustracje i Premia bezpłatne.

Kto zażąda, otrzyma numer „Biesiady” okazowy, lub Prospekt.

PRENUMERATA:

„Biesiada Literacka” z Wieczorami
i Powieściowemi“

w Warszawie: rocznie rb. 6.50; półrocznie rb. 3.25; kwartalnie rb. 1.63. Z przesyłką pocztową: rocznie rb. 8; półrocznie rb. 4; kwartalnie rb. 2.



„Biesiada Literacka” bez „Wieczorów
i Powieściowych“

w Warszawie: rocznie rb. 5; półrocznie rb. 2.50; kwartalnie rb. 1.25. Z przesyłką pocztową: rocznie rb. 6; półrocznie rb. 3; kwartalnie rb. 1.50.

Kopiejek 45 za początek powieści „NA POLU CHWAŁY” drukowana w roku 1904.
Kopiejek 50 za przesyłkę premium bezpłatnego

„ŚPIEWY HISTORYCZNE

J. U. Niemcewicz w obrazach. Obraz pierwszy.

Pismo poranne, codziennie wychodzące, nie wyłączając niedziel

GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej
ogłasza, co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych czytelników tak w Warszawie jakoteż i zamieszkających na prowincyi, odstępujemy od przyjętego liczenia kwartałów: od 1-go stycznia, od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i **przyjmować będziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia każdego miesiąca.**

Wobec tego prenumerata może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocznie w stosunku miesięcznym po **75 kop.** w Warszawie i **1 rubla** z przesyłką pocztową.

Nadmieniamy nadto, iż „GAZETA WARSZAWSKA” opuszcza prasę drukarską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między godziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism popołudniowych) a 5-tą zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pocągami rannemi, **z większych pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.**

SŁOWO

WIELKI DZIENNIK, POŚWIĘCONY SPRAWOM POLITYCZNYM, SPOŁECZNYM, EKONOMICZNYM. LITERATURZE I SZTUCE.

z dniem 1 stycznia roku 1905 rozpoczyna

XXIV ROK ISTNIENIA.

„SŁOWO“ obok artykułów rozumowanych, poświęconych przede wszystkim sprawom wewnętrznym, a także ważniejszym zagranicznym, obok telegramów agencji i korespondentów własnych, obfitej kroniki miejscowej i prowincjonalnej, obok zawsze obszernego, a dziś tak ważnego przeglądu prasy rosyjskiej, daje urozmaicony feljeton oraz obszerny dział wiadomości ekonomicznych i informacji handlowych.

W feljetonie „Słowo“ rozpocznie zaraz po Nowym Roku najnowszą powieść

Elizy Orzeszkowej p. t. „**J pieśń niech zapłacz.**“

Dodatek powieściowy dołączany co tydzień będzie zawierał tłumaczenia najcenniejszych utworów literatury zagranicznej.

„SŁOWO“ za kilka tygodni ukończy druk pomnikowej 5-cio tomowej „Historii Literatury Polskiej“ prof. Stanisława Tarnowskiego, za którą czytelnicy z tyłu stron wyrażali nam wdzięczność.

W roku 1905 „Słowo“ dla prenumeratorów swoich wydawać będzie

Bezpłatnie ENCYKLOPEDIĘ PODRĘCZNĄ ILLUSTROWANĄ

którą tak samo zeszytami tygodniowymi, w większym nieco formacie, na pięknym papierze, przy „Słowie“, otrzymywać będą.

bez żadnej dopłaty do ceny prenumeracyjnej.

Encyklopedia podręczna, zawierająca treściwe, niezbędne dla każdego człowieka wykształconego wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej, obejmie około 130 arkuszy, czyli przeszło 2,000 stronnic druku, tak iż prenumeratorowie nasi w połowie r. 1906 znajdą się w posiadaniu całego, w każdym najmniejszym księgozbiorze, tak potrzebnego dzieła, o istotnej wartości naukowej.

Abym bowiem dostarczyć prenumeratorom dzieło istotnie cenne ze stanowiska naukowego, porozumieliśmy się z gronem uczonych, przeważnie profesorów uniwersytetu lwowskiego, które już w r. 1898 przy pomocy Macierzy Polskiej wydało *Encyklopedyę podręczną*. Gdy zaś cały nakład w bardzo krótkim czasie został wyczerpany, obecnie ciż uczeni rozpoczynają wydanie nowe, daleko obszerniejsze, z uwzględnieniem najnowszych wyników badań naukowych i najnowszych wypadków.

Z wydania tego, na mocy umowy z rzeczonem gronem uczonych, korzystać będziemy, uzupełniając je szczegółami, dotyczącymi stosunków tutejszych, o ile nie będą dostatecznie uwzględnione.

Na dowód jakie siły naukowe pracowały nad ułożeniem tej *Encyklopedyi podręcznej* przytaczamy szereg głośnych w nauce nazwisk:

Literaturę polską opracował Władysław Belza. *Historję* prof. uniw. lwowskiego dr. Ludwik Finkel. *Sztukę* akademik Władysław Łoziński. *Filozofję* prof. uniw. lwowskiego dr. Kazimierz Twardowski. *Medycynę* prof. uniw. lwowskiego dr. Henryk Kadył. *Zoologję* prof. Józef Limbach. *Botanikę* prof. Marian Łomnicki. *Mineralogję, geologję i chemję* prof. uniw. lwow. dr. Rudolf Zuber. *Fizykę* prof. uniw. lwow. dr. Ignacy Zakrzewski. *Matematykę* rektor uniw. lwowskiego prof. książ. dr. Józef Puzyra. *Ekonomję, skarbowość i politykę ekonomiczną* prof. akademii Dublańskiej dr. Jan Pawlikowski. *Rolnictwo* prof. akademii rolniczej w Dublanach dr. Stefan Pawlik. *Hodowlę bydła i mleczarstwo* prof. akademii rolniczej w Dublanach dr. Mieczysław Pańkowski. *Bakteryologję i weterynarję* prof. uniw. lwow. dr. Józef Szpilman. *Geografję* prof. dr. Eugeniusz Romer. *Leśnictwo* prof. szkoły leśniczej Michał Janeczko.

Prócz wymienionych profesorów, znaczny zastęp uczonych brał udział w opracowaniu poszczególnych przedmiotów, zwłaszcza dla spraw Królestwa i Cesarstwa.

Encyklopedia będzie opatrzoną kilkuset ilustracyami i tym sposobem powinna się stać książką najpopularniejszą, podręcznikiem niezbędnym dla wykształconego samouka.

Warunki prenumeraty „SŁOWA“ wraz ze wszystkimi dodatkami:

| w Warszawie: | | Z przesyłką pocztową: | Zagranicą z przesyłką pod opaską: |
|---------------------|------------|-----------------------|-----------------------------------|
| Rocznie | rb. 9 k. — | Rocznie | rb. 12 |
| Kwartalnie | 2 „ 25 | Kwartalnie | 3 „ 35 |
| Miesięcznie | — „ 75 | Miesięcznie | 1 „ 35 |

za odnośnienie do domu 5 k. miesięcz.

W Niemczech i Austro - Węgrzech najlepiej i najtaniej
wypada prenumerować na pocztę.

Adres „SŁOWA“: Warecka № 15, w Warszawie.

„Czytelnia dla Wszystkich”

TYGODNIK ILLUSTROWANY, POŚWIĘCONY NAUCE, LITERATURZE,
POLITYCE I ŻYCIU BIEŻĄCEMU.

Czytelnia stawia sobie przedewszystkiem za zadanie wskazywanie sposobów i dróg pracy zbiorowej dla pożytku ogólnego, jednocześnie zaś pragnie dostarczyć Czytelnikowi wiadomości o wypadkach życia bieżącego w kraju i na świecie całym.

Czytelnia zamieszcza artykuły o sprawach gminnych i miejskich, o urządzeniu i działalności stowarzyszeń i spółek będących objawami samopomocy społecznej, zapoznaje szeroki ogół z istniejącymi i nowymi prawami i rozporządzeniami rządowymi, wyjaśniając ich treść i znaczenie, zamieszcza artykuły naukowe, przyrodnicze, historyczne, ekonomiczne i inne, daje przegląd wydarzeń politycznych, wreszcie stara się oświecić życie prowincyi, zamieszczając stałe kroniki, przegląd czasopism: prowincjonalnych i korespondencye z różnych okolic kraju.

Czytelnia zamieszcza stałe powieści, opowiadania i poezye.

W każdym numerze **Czytelnia** znajdują się rysunki ilustrujące treść artykułów i lub życie bieżące.

„CZYTELNIĄ DLA WSZYSTKICH” kosztuje:

w Warszawie:

| | |
|------------|-------|
| Rocznie. | rb. 4 |
| Półrocznie | „ 2 |
| Kwartalnie | „ 1 |

z przesyłką pocztową:

| | |
|------------|------------|
| Rocznie. | rb. 5 kop. |
| Półrocznie | „ 2 „ 50 |
| Kwartalnie | „ 1 „ 25 |

Za granicą:

| | |
|-------------------------|------------------------------|
| w Niemczech | 3 marki 50 fenig. kwartalnie |
| „ Austrii | 4 korony |
| „ Stanach Zjednoczonych | 3½ dol. rocznie. |

Za odnośnienie do domu dopłaca się 10 k. kwartalnie. — Zmiana adresu kop. 10. — Numer pojedynczy kop. 12.

Rękopismów nadesłanych nie zwraca się

Redakcja i Administracja Smolna 17.  **Redaktor i Wydawca Władysław Umiński**

Gazeta Rolnicza

CZASOPISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

Uwzględnia przedewszystkiem **potrzeby praktyczne wszelkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego**, nie zaniedbując przytem systematycznego zaznajamiania czytelników z najnowszymi **zdobyczami wiedzy zawodowej**.

Uznając zaś wielką doniosłość łączenia się rolników w Towarzystwa i Syndykaty, zwraca baczną uwagę na ich działalność i rozwój, podając stałe jaknajdokładniejsze sprawozdania z przedsięwzięć, narad i posiedzeń wśwyskich krajowych stowarzyszeń rolniczych.

Oprócz tygodniowych zeszytów **Gazety**, prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie

PRACE SEKCJI ROLNEJ

ORAZ DODATKI KSIĄŻKOWE I KARTY ALBUMOWE, PRZEDSTAWIAJĄCE TYPY RÓŻNYCH RAS ZWIERZĄT I DOMOWYCH.

Prenumeratę, wynoszącą rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 50 — najlepiej nadsyłać wprost do **Redakcyi**, która się mieści przy ulicy **Złotej № 24 w Warszawie**.

Rok 4-ty

STRAŻAK

Rok 4-ty

pismo poświęcone pożarnictwu i sprawom Straży ogniowych ochotniczych, wychodzi raz na miesiąc, w końcu każdego miesiąca.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie rubli 1, z przesyłką rubli 1,25.

STRAŻAK jedyne pismo zawodowe w kraju, podaje artykuły następującej treści: Rozporządzenia rządowe, artykuły rozumowane, wiadomości z dziedziny pożarnictwa, popularne pogadanki naukowe i historyczne, wskazówki zawodowe, korespondencje, powieści, wiersze, kronikę pożarową, rozmaitości, sprawozdania i t. d. — wszystko stylem jasnym i dostępnym.

Adres Redakcyi „Strażaka”: **NOWY-SWIAT № 26, w Warszawie.**

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE „Kurjer Warszawski”

wychodzi codziennie **PRZY WSPÓŁPRACOWNICTWIE NAJPIERWSZYCH SIŁ LITERACKICH** w dni powszednie wieczorem, a w Niedzielę i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie **BEZPŁATNE DODATKI PORANNE** zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12 godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych (często daleko większej jeszcze objętości) numerów głównych i 6 półarkuszowych **dodatków porannych.**

KURJER WARSZAWSKI
liczy rok 85 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści **najtańszem pismem polskiem.**

WARUNKI PRENUMERATY wraz z dodatkiem porannym: **W Warszawie:** Rocznie rb. 9, półr. rb. 4 k. 50, kwart. rb. 2 k. 25, mies. kop. 75. za odosłanie do domu dopłaca się miesięcznie k. 10. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwart. rb. 3, mies. rb. 1. **Za granicą:** Roczn. rb. 18, półr. rb. 9, kwar. 4.50, miesiąc. 1.50.

WARUNKI OGŁOSZEŃ: Małe ogłoszenia: za jeden wyraz 3 kop., za każdy raz. Zwyczajne ogłoszenia: za wiersz petitowy 12½ kop. za każdy następny, raz po 10 kop. Nekrologia: za jeden wiersz 20 kop. Reklamy: za jeden wiersz garmentowy albo jego miejsce pierwszy raz 30 kop. następne po 25 kop. Nadesłane: za wiersz 1 rubla.

Adres: Administracyi „Kurjera Warszawskiego”, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 40.
Filje: Plac Teatralny № 7, Praga—ulica Targowa № 34, Marszałkowska № 108.
w Łodzi: Kantor własny, Dzielna № 2.

„NAKOŁO ŚWIATA”

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

Jedynе pismo polskie podróźnicze, mające na celu:

Zapoznanie ze światem, przez podawanie opisów podróży oryginalnych i tłumaczonych;

Zaznajamianie z krajem i ludem naszym w artykułach, na podstawie materyałów świeżych, czerpanych z pierwszej ręki.

Rozpoczynając rok **czwarty** wydawnictwa, wychodzić będzie w r. 1905 podług dotychczasowego programu, obejmującego następujące działy:

Opisy podróży lądowych i morskich.

Powieści i opowiadania.

Opisy krajów i ludów we wszystkich częściach świata.

Dla miłośników fotografii.

Artykuły popularno-naukowe.

Kronika esperantyczna.

Technika, przemysł i wynalazki.

Wskazówki dla podróżujących.

Sprawy żeglugi powietrznej, automobilizmu.

Rozmaiitości.

Filatelistyka, szarady i t. p.

—== WARUNKI PRENUMERATY: ==—

W Warszawie rocznie 4.— rb., półrocznie 2.— rb., kwartalnie 1.— rb.

W Królestwie i Cesarstwie „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25 „

Zagranicą „ 6.— „ „ 3.— „ „ 1.50 „

Dla uczęcej się młodzieży prenumerata miesięczna w Warszawie 35 kop.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura

Ekspedycję na zagranicę:

dzienników oraz Redakcja HOŻA № 52.

KRAKÓW, GRODZKA № 50.

Wydawca **Antoni Orłowski.**

Za Redaktora **Antoni Orłowski.**

HOMILETYKA

ROK WYDAWNICTWA SIÓDMY

Pismo miesięczne poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu

pod kierunkiem literackim **ks. Maryana Nassalskiego**, Magistra teologii.

Umieszcza artykuły teologiczne, tłumaczenia Ojców Kościoła, historię katechetyki, rozprawy z wymowy kościelnej, kazania na niedziele i uroczystości, konferencje, nauki katechizmowe, bibliografię i wiadomości teologiczno-pastoralne.

W roku bieżącym Homiletyka rozpoczęła drukować: **Katechizm wyższy ludowy**, **Wykład zasad wiary świętej** oraz od miesiąca października umieszcza w nieprzerwanym ciągu **najpopularniejsze i najpraktyczniejsze na niedziele, święta uroczyste i nab. pasyjne: Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego** **ks. Karola Fischera**, byłego proboszcza w Dobrzechowie, obecnie biskupa-sufragana przemyskiego.

PRENUMERATA ROCZNIE Z PRZESYŁKĄ RB. 8.

Cena 9-ciu tomów I seryi 1898—1902 rb. 38.

Przedpłatę przyjmuje Redakcja Homiletyki: Włocławek, gub. Warszawska.

ROK 26-TY

WARSZAWA, MAZOWIECKA 10.

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODEGO WIEKU

poświęcony rozrywce i nauce młodzieży z **OSOBNYM DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.**

Od 1 Stycznia 1905 r. WIECZORY RODZINNE powiększają znacznie swoją objętość i wprowadzają dział dla STARSZYCH PANIENEK i MŁODSZYCH dzieci od lat 10-ciu.

PREMIA: 1) Bezpłatny dodatek powieści i podróży w zeszytach broszurowanych co miesiąc.

2) NA GWIAZDKĘ OSOBNĄ KSIĄŻKA. Liczne konkursy z nagrodami.—Wzory gier, robót i t. p.

Współpracownictwo cenniejszych autorów.—Kierunek literacki **Z. Bukowieckiej i Ig. Balińskiego.**

Tania biblioteczka powieści i podróży po 10 kop. tom.

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 1 rb. z odnośnieniem do domu, z przesyłką pocztową 1 rb. 25 kop.

Redaktor: **L. HAUKE.** ===== Wydawca: **MARYA BALIŃSKA.**
MAZOWIECKA 10, WARSZAWA.

DLA MATEK I GOSPODYŃ

cennym przewodnikiem i doradcą jest

Tygodnik gospodarstwa domowego

ukazujący się co piątek

PRZY **GOŃCU** PORANNYM
I WIECZORNYM

przynosi artykuły w sprawach wychowania dzieci, higieny domowej, gospodarstwa spiżarnianego, kuchni, stroju i mieszkania.

GONIEC **==** **PORANNY**
i WIECZORNY

pismo codzienne cieszące się największą sympatją rodzin polskich

 **2 razy dziennie najwięźsze telegramy i wiadomości**

2 razy dziennie wysyła pocztą na prowincję. 

Cena prenumeracyjna „GOŃCA” nadzwyczaj przystępna:

W WARSZAWIE:

Miesięcznie rb. — kop. 50

Kwartalnie „ 1 „ 50

Półrocznie „ 3 „ —

Rocznie „ 6 „ —

Za odnośnienie do domu mies. kop. 15

Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:

Miesięcznie rb. — kop. 60

Kwartalnie „ 1 „ 75

Półrocznie „ 3 „ 50

Rocznie „ 7 „ —

Za granicą miesięcznie rb. 1 kop. 50



Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, **ZGODA 5.**

Spiew Kościelny

Dwutygodnik poświęcony sprawie Muzyki Kościelnej wychodzi rok X w Płocku pod kierunkiem ks. Eugeniusza Gruberskiego.

„SPIEW KOŚCIELNY“ jest jedynym muzycznym organem polskim przeznaczonym do szerzenia zamiłowania wśród ogółu naszego Muzyki Kościelnej, opartej ściśle na przepisach liturgicznych Kościoła.

„SPIEW KOŚCIELNY“, nie wyrzekając się ojczystej, prastarej tradycji w pieśni polskiej, pilnie czuwa nad zachowaniem świętych przepisów Liturgii.

„SPIEW KOŚCIELNY“ bacznie śledzi postęp Muzyki Kościelnej zarówno na niwie rodzimej u nas i za kordonem, jak i zagranicą, a pragnąc zaznajomić ogół czytelników z bieżącym ruchem muzycznym, daje w tym celu wyczerpujące sprawozdania z pism muzycznych francuzkich, niemieckich i włoskich.

„SPIEW KOŚCIELNY“ podaje nadto w każdym numerze krytyczne oceny nowości muzycznych, bądź ściśle liturgiczno-kościelnych, bądź poważniejszych religijnych i świeckich.

„SPIEW KOŚCIELNY“ ma bardzo trudne zadanie wobec przesądów i uprzedzeń, jakie często kierują opinią. Za stosowne przeto uważamy prosić na tem miejscu Duchowieństwo, Organistów i Prasę o życzliwe poparcie na tej ważnej i trudnej placówce naszej. Ważna jest ta placówka w dobie dzisiejszej, w dobie znamienitych reform na polu Muzyki Kościelnej, szczególnie przez Stolicę Apostolską umiłowanej i pod Jej kierownictwo ujętej, ale i trudna wobec niechęci i podejrzliwości wielu jeszcze osobników.

„SPIEW KOŚCIELNY“ nie upada wszakże na duchu, bo w ciągu lat IX utarował już sobie drogę przebojem, więc i w roku X istnienia swojego w Imię Boże pójdzie szlakiem, wytkniętym przez MOTU PROPRIO Jego Świątobliwości Ojca Świętego PIUSA X.

„SPIEW KOŚCIELNY“ poszczycić się może współpracownictwem światłych i fachowo uzdolnionych muzyków, zasilających stałe pismo doborem artykułów. W r. b. drukować się będzie „NAUKA HARMONII“ według znakomitego w tym kierunku dzieła Piela.

„SPIEW KOŚCIELNY“ w r. b. jako dodatki nutowe dawać będzie „SPIEWNIAK PIEŚNI POLSKICH, UŻYWANYCH W KOŚCIOŁACH NASZYCH“ w harmonizacji ks. kan. L. Moczyńskiego. Część I-sza tegoż „Śpiewnika“ dodawana w r. 1904, a stanowiącą osobny dział pieśni łacińskich otrzyma każdy nowoprybyły prenumerator. Jako premium bezpłatne dajemy także „MSZĘ KU CZCI ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO“, ks. E. Gruberskiego, lub „PRELUDYA KOŁĘDOWE“, ks. kan. Walczyńskiego.

„SPIEW KOŚCIELNY“ posiada na składzie wiele utworów wydawnictw własnych i obcych, sprowadza nuty z zagranicy. Na żądanie wysyła katalogi.

ADRES REDAKCYJI
I ADMINISTRACYJI

PŁOCK.

Prenumerata roczna „**Spiewu Kościelnego**”

z przesyłką rubli 4.—, półroczna rubli 2.—.

W PŁOCKU rocznie rubli 3.—, półrocznie rubli 1.50.

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLU-
STROWANE, NAUCE I ROZ-
RYWCE MŁODZIEŻY
POŚWIĘCONE.



Cena tych książek dla nie-
prenumerujących „Przyja-
ciela Dzieci” wynosić bę-
dzie w handlu księgarskim
kop. 60 za egzemplarz, czyli
7 rubli 20 kop. za tomów
dwanaście.

W części literackiej zawiera:

opowiadania historyczne i z podróży,
powieści, wiersze,
komedyjki, pogadanki naukowe, zadania
== różne, rebusy i t. p. ==

Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów
młodocianych.

PREMIUM NA ROK 1905

Bezpłatnie 12 tomów powieści

czyli książka co miesiąc.

Wszystkie tomy wychodzą w ozdo-
bnej oprawie, za którą nadesłać
należy po kop. 15 od każ-
dego tomu.



PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie kwartalnie rub. 1, rocznie 4. Z przesyłką pocztową
kwartalnie rub. 1 kop. 25, rocznie rub. 5.

KANTOR PRENUMERATY ZGODA 7 WARSZAWA.

Redaktor JAN SKIWSKI.

**Setki biedaków
drżących z zimna
błaga o odzież!**

Przypominamy, że przy Warsz. Tow. Dobr. istnieje specjalny oddział zajmujący się odziewaniem biednych, ale obecnie zasobów nam brak.—Kto łaskaw, niechaj nadsyła odzież nową, lub zużyta do kancelaryi Rozdawnictwa Odzieży w gmachu Warsz. Tow. Dobr. Krakow. -Przedmieście № 62.

„Dziennik dla Wszystkich”

Pismo codzienne, **niezależne**, z kierunkiem wybitnie chrześcijańskim
z dniem 1-ym Stycznia 1905 r. rozpoczyna XXIII rok istnienia.

„Dziennik dla Wszystkich” zamieszcza w każdym numerze: powieść oryginalną i tłumaczoną, wiadomości bieżące warszawskie, z kraju i za granicą, depesze Ag. Petersburskiej i własne, artykuły społeczne i literackie, sprawozdania sądowe, recenzje teatralne, rozmaitości, wiadomości handlowe i giełdowe, ceny zboża i produktów rolnych, losowania, łamigłówek i t. d., jednym słowem na szpaltach „Dziennika dla Wszystkich” znajdują czytelnicy wszystko, co ich interesować może i powinno.

Wobec wypadków na Dalekim Wschodzie, zwracających na siebie oczy całego świata, zaprowadziliśmy **święteczne Dodatki poranne**, dzięki którym czytelnicy nasi otrzymają zawsze najświeższe wiadomości z **placu boju**.

Dodatki te utrzymamy i w roku 1905. :#

Stali prenumeratorzy „Dziennika dla Wszystkich” otrzymają w 1905 roku niezwykle bogate premium, a mianowicie **wspaniałe wydawnictwo arcydzieła literatury wszechświatowej**

BAJKI LAFONTAINE'A.

Wydawnictwo „BAJEK” ukazało się trzydzieści lat temu we wspaniałej szacie zewnętrznej, zostało ono wtedy nagrodzone wielkim medalem na Wystawie Paryskiej.

Wydawnictwo to jest dzisiaj wyczerpane i dla tego „Dziennik” przystępuje do drugiego wydania.

„Bajki Lafontaine'a” stanowią będą olbrzymi tom około 800 stron druku. Zdobić je będzie 87 wielkich i przeszło 500 mniejszych ilustracji.

Ilustracje te, wyszłe z pod ołówka takiego mistrza, jak **Gustaw Doré** i odtworzone we wspaniałych **drzeworytach**, przy dzisiejszym zaniku sztuki drzeworytniczej, pograbionej przez fototypię stanowią ostatni wyraz sztuki ilustracyjnej.

Dzieło to, które otrzymają stali prenumeratorzy „Dziennika”, jako premium na rok bieżący, wychodzić będzie w zeszytach miesięcznych.

Feljeton powieściowy w roku 1905 wypełni nowy utwór znanego czytelnikom naszym autora „HURAGANU” i „PANI WALEWSKIEJ” **Wacława Gąsiorowskiego**

pod tyt. „Czarny generał,”

Niezwykle zajmujący ten **romans historyczny** drukować zaczniemy z dniem 1-ym Stycznia r. b.

Dział powieści tłumaczonych utrzymamy nadal na tym samym poziomie, dając w odcinku obok **powieści oryginalnej**

najnowsze utwory literatury powszechnej.

PRZEDPŁATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie rb. 4 k. 20,
półrocz. rb. 2 k. 10, kwart. rb. 1 k. 5,
miesięcznie kop. 35. Za odosłanie
do domu k. 5 miesięcznie.

Z PRZESYŁKĄ ROCZTOWĄ: rocznie
rb. 7 k. 20, półrocznie rb. 3 k. 60,
kwartalnie rb. 1 kop. 80, miesię-
cznie kop. 60.

Adres redakcyi i administracyi: WARSZAWA, **Warecka 15.**



Jego Świętobliwość Papież Pius X

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“ 12 dużych tomów rocznie

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE pod redakcją ks. Józefa ADAMCZYKA.

Nie znaleźlibyśmy innych słów na wyrażenie zadań, które sobie redakcja „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ postawiła, nad poniżej zamieszczone w pięknym wierszu księdza Pawła Korwina-Kamieńskiego, kanonika katedralnego Łucko-żytomierskiego:

„Dzwonku Częstochowski” dzwoń,
Święte echa roznieś w dal,
Z szumem wiatru, z szumem fal
Od pokuszeń chmur nas broń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoń,
O Maryi cudach głos,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznieś woń!
„Dzwonku Częstochowski”, dzwoń,
Głos Maryi chwałę w świat,
A ojczyznej ziemi szmat
Ułną ku niej wzniesie dłoń!..

Tak, na chwałę Najświętszej Maryi Panny, która swój ziemski tron na Jasnej-Górze w Częstochowie sobie obrała, na cześć Tej Królowej Nieba i ziemi pragnie „Dzwonek Częstochowski” — jak za lat poprzednich wdzięcznie i serdecznie dzwonić, aby wróżyć wiernym Czciicielom Maryi dobrą przyszłość, nieść słowa pociechy i ukojenia, aby tak w pałacu, jak w ubogiej chacie być drogim gościem, wnosić błogosławieństwo i łaskę Bożą.

Za zbożną pracę redakcja „Dzwonka Częstochowskiego” zaszczycona została błogosławieństwem Ojca Świętego Leona XIII i następcy Jego najmiłościwiej dziś panującego papieża Piusa X, a także najdosłojniejszych pasterzy naszych księży biskupów. To wielkie dobrodziejstwo dachowe spływa nie tylko na redakcję i jej współpracowników, lecz w równej mierze i na wszystkich czytelników „Dzwonka Częstochowskiego”.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo „Dzwonka Częstochowskiego“.



Kościół Świętego Piotra w Rzymie.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dycezyi „Dzwonek Częstochowski” w świat wychodzi.



Jego Ekscelencyja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki, biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księżu Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchowcy i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księżu Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim”, za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodziecę Maryję.

Że praca Twoja była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego”.

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukinąć z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego” życzliwości, zsyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księżu Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Te wysokie dobrodziejstwa, odznaczenia i uznanie osób, kierujących sprawami Bożemi na ziemi, a zarazem wielką poczytność „Dzwonka Częstochowskiego”, jaką się cieszy wśród licznych i szerokich warstw społecznych, uważamy za niezbitą dowód łaski Matki Boskiej Częstochowskiej, Orędowniczki naszej i Opiekunki.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata Katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego” wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.

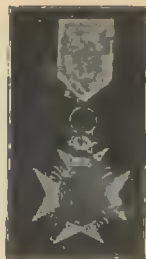
O ile te tyle zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągle dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wzrasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmiłszą zapłatą za trudy i najmiłszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwarny, tak można orzeźwić ducha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.

Każdy z tych przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” radby, aby jak najdalej i najszerzej głos jego rozbrzmiewał i każdy pragnąłby jak największego rozpowszechnienia pisma na cześć i chwałę Matki Boskiej Częstochowskiej poświęconego. O, bo nie wszyscy jeszcze ten głos od stóp Jasnej-Góry rozbrzmiewający — słyszą... A głos to krzepiący, który koi bóle, wzywa do zgody braterskiej, wskazuje drogę do najwyższego szczęścia — zbawienia wiecznego...

Wszyscy więc, którzy słyszycie ten dzwon Maryi, Matki Bożej, w cudownym obrazie na Jasnej-Górze w Częstochowie umiłowanej, nie bądźcie nań głusi!..

Przyjmijcie w progi swoje „Dzwonek Częstochowski“, jako dobrego przyjaciela i doradcę, zalecajcie to pismo innym, a spełnicie przez to czyn dobry, który Bóg pobłogosławi, — przyczynicie się, jako dobre dzieci, do rozpowszechnienia czi i chwały Najświętszej i najlepszej Matki naszej, Królowej Nieba i Ziemi.



Medal złoty, którym nagrodzono redakcję „Dzwonka Częstochowskiego“ na kongresie ku czci Maryi, Królowej Niebios, odbytym we Fryburgu.



U STÓP JASNEJ-GÓRY.

„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI“

✻ w roku 1905 zawierać będzie:

Kościelno-religijnych i dotyczących się Częstochowy.

W roku 1905 „Dzwonek Częstochowski“ drukować będzie opowieść historyczną z czasów ostatniego prześladowania chrześcijan za panowania Rzymian p. t.

A także nader zajmującą pracę ozdobioną licznymi ilustrac., p. t.

Będą to wzruszające opisy pochodów, walk, bitew i wiekopomnych wydarzeń z czasów wojen krzyżowych, gdy zatknięto krzyż na murach Jerozolimy i utworzono tamże królestwo chrześcijańskie, aby strzegło Grobu Pańskiego.

W celu przypomnienia Czytelnikom przeszłości naszej drukować będziemy piękną pracę, ozdobioną licznymi ilustracjami p. t.

„DAWNE NASZE KLASZTORY ŚWIĄTYNIE“.

W dalszym ciągu drukować będziemy:

1) *Drogą Świętych Męczenników wśród pogan* (Opisy prześladowań, jakie znoszą głoszący słowo Boże w krainach pogańskich: Chinach, Indjach, Syamie, wśród muzułmanów, wśród ludożerców, pod biegunem i t.p.). 2) *Życiorys ilustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa* (najobszerniejszy z istniejących). 3) *Życiorys księdza Augustyna Kordeckiego* (najobszerniejszy z dotychczas znanych); 4) *Historję ilustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach*. 5) *Boga Rodzica naszą Matką* przez ks. Wł. F. i t. d.

Dla prenumeratorów całorocznych wspaniałe **Premium na rok 1905:**

Piękne, kilkudziesięciu cennymi ilustracjami ozdobione

„ALBUM PAMIĄTKOWE“

budowy nowej wieży na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Będzie to miła i droga dla wszystkich pamiątka mającego się odbyć w roku 1905 poświęcenia wspaniałej wieżycy, bogatej w tyle wspomnień, drogiej i bliskiej naszemu sercu.

Album to otrzymają wszyscy całorocznicy prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“. Życzący sobie otrzymać premium pocztą dopłacają za opakowanie i przesyłkę **30 kop.**

Dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ redakcja ofiaruje po niższej cenie książkę:

OBRAZY W SALI RYCERSKIEJ NA JASNEJ-GÓRZE ozdobione kolorowemi, artystycznie wykonanymi ilustracjami.

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze“ za egzemplarz ozdobnie oprawny rub. 1 kop. **50**, dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“, żądających wprost z redakcji, tylko 1 rb. i kop. **20** na przesył. poczt.

Wizerunki Dostojników Duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze.

Cena niższa dla prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego“ — **50 kop.**, z przesyłką — **67 kop.**

Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. **3**, półrocznie rub. **1** kop. **50**, kwartalnie **75 kop.** Z przesyłką pocztową rub. **4**, półrocznie rub. **2**, kwartalnie rub. **1**. W Austrii: rocznie koron **12**, półrocznie koron **6**. W Niemczech: rocznie marek **10**, półrocznie marek **5**. W Ameryce rocznie **2** dolary **50** centów. Cena ogłoszeń: Na całej stronicie rub. **12**, na połowie str. rb. **8**, na czwartej części stronicy rub. **5** i za wiersz **75 kop.** Prenumeratorzy miejscowi za odnośnienie pisma do domu dopłacają **10 kop.** kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcja „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.

Filja w Warszawie: ul. Mokotowska Nr. 47.

Redaktor i Właściciel: ks. Józef Adamczyk.